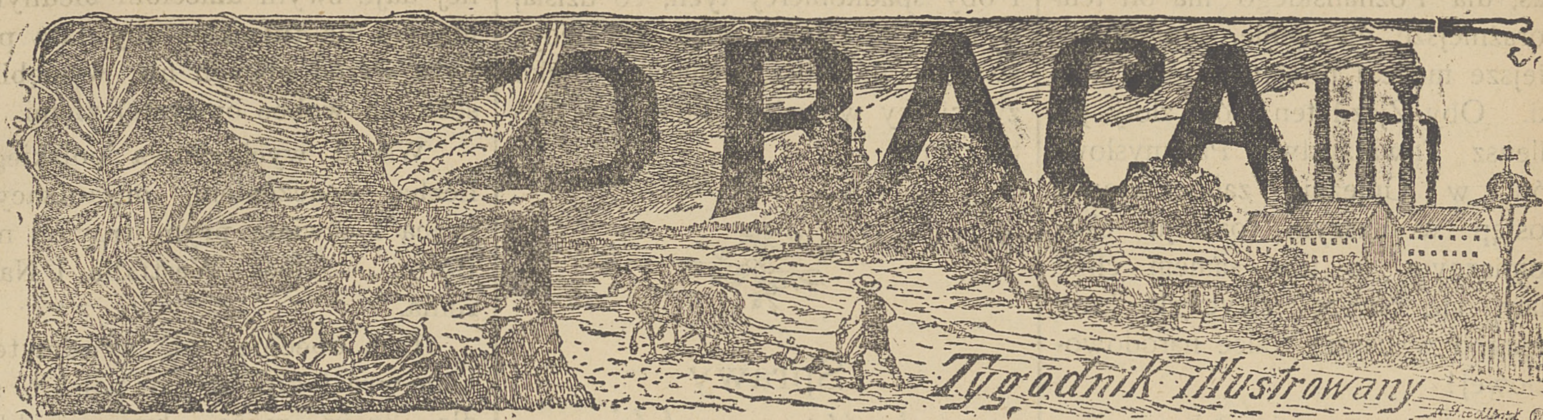
Nr. 41. Poznań, Niedziela 13-go Października 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.: na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Złoty jubileusz.

W niedzielę dn. 6 października 1901 roku obchodziło *Towarzystwo Przemysłowe w Gnieźnie* złoty jubileusz, czyli — inaczej mówiąc — święciło uroczystość pięćdziesięcioletniego istnienia, pięćdziesięcioletniej pracy, półwiekowego wytrwania pod sztandarem!

Piszemy słowa niniejsze pod wrażeniem uroczystości jubileuszowej i połączonego z nią *Walnego Zjazdu Delegatów Towarzystw Przemysłowych Związkowych;* nie możemy przeto na tem miejscu zdawać sprawy z obrad i postanowień Zjazdu, ni z przebiegu uroczystości. Sprawozdanie to znajdzie Czytelnik na dalszej stronnicy, tu zaś chcielibyśmy jedynie słów kilka zasadniczych wypowiedzieć o znaczeniu uroczystości takiej w Gnieźnie.

Pół wieku istnienia i pracy — to nie żarty. Szczęśliwy, kto po za siebie na tak długi szereg lat spojrzeć może, ma on prawo do wieńca i pieśni: „Plon niesiemy, plon!“

Zadowolenie zaś tem większe, jeżeli plon ten zbieramy z łanów, które przedtem leżały u nas ugorem, a w przyszłości mają tem obfitsze wydać nam owoce.

Społeczeństwo nasze do niedawna niemal wyłącznie rolnicze przetwarza się — choć z wolna — w przemysłowo-rolnicze; w ostatnich czasach przemiana ta mocą wypadków i rozwoju ekonomicznego postępuje może szybszym krokiem, bo w przetwarzaniu tem grają rolę nie tylko czynniki ekonomiczne gospodarcze, ale wchodzą tu w grę w znacznej mierze czynniki narodowościowe. Chcą nas Niemcy dzisiaj ekonomicznie zniszczyć — więc się nie dajmy! to nasze hasło. Chcą kosztem naszych kupców i rzemieślników podnieść niemieckich kramarzy — więc pracujmy nad rozwojem naszego kupiectwa i rzemiosła! to nasza pobudka.

Wiemy dobrze, że i najwięcej chytre wymysły i zabiegi wrogiej nam hakaty nas na naszej ziemi nie wyplenią, bośmy tu jak zboże odwieczne bożą zasiane ręką; nie mniej jednak bronić się trzeba, by i na czas pewien niemieckie chwasty nie wzięły nad nami górę. Żyjemy więc już zdawna pod znakiem obronnej a zaciętej walki i coraz bardziej przychodzimy do zrozumienia, żę walkę tę nie na polu krwawej bitwy, ale na polu ekonomicznego rozwoju staczać trzeba. Kto w tej walce zwycięży; ten górą i do tego najbliższa przyszłość należy. Pochowaliśmy więc miecze do pochew, zawiesili kosy, a stanęli u kowadeł z młotem w ręku, lub za stołem kupieckim z miarą i wagą, zasiedli w pracowniach rzemieślniczych z igłą lub innem narzędziem.

Szczęść Boże tej pracy!

Niedawno temu odbył się Zjazd przemysłowy w Krakowie. Zjechali się nań polscy przemysłowcy i kupcy z Polski całej, by tam pod Wawelem, w tem sercu Polski starej, dać dowód, że Polska cała pracuje nad podniesieniem wielkiego i małego swego przemysłu i kupiectwa, by skuteczne dla pracy tej obmyślić środki.

Pod szczęśliwą więc gwiazdą otworzył Zjazd Delegatów Towarzystw Przemysłowych Związkowych obrady swoje w Gnieźnie. Chociaż Zjazd ten gnieźnieński z natury rzeczy mniejszy ma okres działania, boć w obradach swych tylko nasze

W. Księstwo Poznańskie może mieć na względzie, to jednak właśnie dla nas, dla Poznańskiego ma on tem doraźniejsze znaczenie, tem doraźniejsze może i powinien mieć skutki. Oby Zjazd ten i ów złoty jubileusz Towarzystwa Przemysłowców w Gnieźnie zapoczątkował postęp w naszym rozwoju ekonomicznym, a tem samem choć mały, ale zawsze zwycięzki krok naprzód w naszej walce narodowościowej!

Nie bez znaczenia głębszego — sądzimy — jest i ta okoliczność, że jubileusz ten złoty i w związku będący z nim Zjazd przypadł właśnie w Gnieźnie, w tej prastarej Lechitów kolebce. Kto dzisiaj do miasta tego wjeżdża, ten na wstępie zaraz spostrzega pomnik Fryderyka III, a nieco dalej pomnik poległych w niemieckich bitwach — kamienne dowody pruskich rządów w naszych polskich dzielnicach. Oby Zjazd ten przemysłowy był zaś żywym dowodem na to, że pomniki te, to tylko powierzchowny pokost, jakim pruska ręka obrzuca staropolskie miasto, którem zawsze było, jest, będzie Gniezno.

Pół wieku istnienia i pracy Towarzystwa Przemysłowego, toż to oczywisty dowód polskiego życia, jakie dotąd w Gnieźnie pulsuje i tętni. Ale nie zakrywajmy przed sobą niebezpieczeństwa i smutnej prawdy, że jest ono, to życie polskie, tam zagrożone niemało. Kolonizacya zrobiła już pod Gnieznem, mianowicie w północnych jego okolicach, przerażające dla nas postępy. Tem łatwiej by jej było, osaczywszy miasto wokół Niemcami, podciąć byt wielu polskich kupców, przemysłowców, rzemieślników, którzy dotąd w Gnieźnie chleb mają i po domach swych polskie niecą życie.

Widzimy więc jak wielkie a trudne zadanie przypadło w udziale Towarzystwu Przemysłowemu, które w sobie wszystkie dążenia dla utrzymania i podniesienia polskiego handlu i rzemiosła w Gnieźnie jednoczyć i popierać winno.

Oby za drugich lat pięćdziesiąt Towarzystwo to z dumą spoglądać mogło na całowiekowe swoje życie i oby spadkobiercy tych, co dzisiaj w niem są czynni, wiekowy kiedyś święcąc jubileusz, święcili go jako zwycięzcy w walce, którą my dziś toczymy!

Redakcya.

Sprawy *wychodźtwa polskiego.*

Jednem ze zjawisk najbardziej zastanawiających, a zarazem też i najbardziej pocieszających wpośród szarej przędzy naszych walk o byt naszych nadziei — jest występująca z dniem każdym coraz silniej na jaw *żywotność naszego wychodźtwa.*

Widzimy my, w kraju, ze zdumieniem i podziwem ten wzmagający się coraz bardziej ruch odporny wobec germanizacyi, z uznaniem widzimy rządną, jędrną pracę organiczną nad zachowaniem charakteru narodowego wychodźców, z radością witamy coraz silniej zarysowujące się polityczne znaczenie naszego wychodźtwa. Te setki i dziesiątki tysięcy naszych rodaków w głębi Niemiec okazują energię i stałość w walce o byt, — jakiego im kraj tylko zazdrościć może; a walcząc z przeciwnościami w obronie swej narodowości, składają nasi wychodźcy w Niemczech w imieniu społeczeństwa polskiego chlubne świadectwo przed światem, że to nie upadek, rozstrój i rozkład wewnętrzny narodu polskiego ich w świat szeroki wypędził, lecz wytworzona fatalnym losem zarobkowa konieczność, wynikająca z przynależności ziem naszych do państwa pruskiego. Wychodźcy nasi, broniąc swą narodowość przed zagładą, w imieniu całego narodu polskiego składają świadectwo, że społeczeństwo, z którego oni wyszli, jest żywe, — że nie zamiera, lecz chce żyć, — że pracuje dla swej przyszłości, a choć związane obręczą praw wyjątkowych, tyle jednak ducha polskiego, tyle siły odpornej daje swym dzieciom biednym, idącym na tułaczkę, aby lata pobytu wśród obcych nie wyziębiły serc ich wobec ojczystej ziemi.

Wśród wychodźtwa polskiego liczbą, znaczeniem, organizacyą, pracą i oświatą prym trzyma nie Berlin — lecz Westfalia i Nadrenia.

Tam obecnie tak żywem tętnem wre i kipi życie polskie, że dla kraju może być przykładem. I lepsze, jaśniejsze myśli jakieś napełniają duszę, gdy się pomyśli, że przecież nasi rodacy tam nie mają swej inteligencyi, — że nawet z pewną słusznością uskarżają się na obojętność tamtejszych polskich kupców i przemysłowców, — a jednak sami pozostawieni sobie, ot tak, po dawnemu, jak za czasów piastowskich, idąc *masą*, zwartą ławą, na barkach swych robotniczych potrafią udźwignąć ciężar obowiązków obrony narodowości i szerzenia oświaty.

Niema tygodnia, niema niedzieli, aby w Westfalii i nad Renem nie odbyło się równocześnie po kilka wieców. A wślad za tym ruchem wiecowym, wobec którego wiece w Księstwie wydają się bladą i cieplarnianą roślinką — idzie niewątpliwe ożywienie towarzystw. I nieraz cały numer naszego pisma musielibyśmy zapełnić od góry do dołu, gdybyśmy chcieli umieścić wszystkie sprawozdania z wieców i obchodów, jakie nam nadsyłają z tamtych stron nasi przyjaciele. Ale choć miejsce nie pozwala na to, to jednak czytając uważnie te sprawozdania, odnosimy wrażenie, że dziś prawdziwe odrodzenie się szerokich warstw ludowych dokonywuje się najsilniej tam — na obczyźnie.

Mówiono tu wprawdzie i u nas coś o założeniu Towarzystwa wiecowego, — ale koniec końców urządzanie wieców pozostawione jest dobrym chęciom i woli jednostek. Podczas gdy w Westfalii wybornie funkcyonujący Związek

Polaków nietylko, że we wszystkich, choć trochę uwagi godnych miejscowościach z polską ludnością, urządza systematycznie i planowo wiece, ale nadto już chce rozszerzyć zakres swego działania i ogarnia nadto Hanower, Anhalt, Brunświk, chcąc wszędzie niecić iskrę oświaty narodowej — u nas przecie w Księstwie nawet w tak ożywionem mieście, jak Inowrocław, ku publicznemu wstydowi tamtejszych sfer inteligentnych, nie odbył się dotychczas ani jeden wiec. Dzieci się uczą po dawnemu religii po niemiecku, starsi biorą udział w obchodach przy pomniku cesarza Wilhelma, a „wyższa“ inteligencya, o ile nie sprzedaje majątków w ręce ajentów kolonizacyi, spędza miłe chwile na „urzędowych“ śniadaniach u wysokich dostojników pruskich.

A na wychodźtwie silnie zaprząta umysły wciąż jeszcze sprawa wyborów: wybory w Duisburgu zrobiły swoje — i dziś ta sprawa weszła na tory, z których już nie zejdzie. Owszem, myśl polityczna polska wśród wychodźców zaczyna pracować nad pogłębieniem tego projektu głosowania z zasady „na swego!“

Leży właśnie przed nami sprawozdanie z wieca, zwołanego staraniem Towarzystwa Przemysłowców Polskich w Dortmundzie. Wiec ten odbył się w końcu zeszłego miesiąca, a na porządku dziennym była kwestya: *stawianie kandydatów do rady miejskiej.*

Widzimy tu odrazu to *pogłębienie* myśli politycznej. Już nie same tylko wybory mają dawać o nas świadectwo, że jesteśmy i żyjemy. Bardzo logicznie i słusznie: jeśli Polaków w jakiej miejscowości jest dużo, to powinni oni nietylko występować w wyborach do parlamentu, jako zwarta, jednolita polityczna partya, ale powinni w ten sam sposób występować i w samorządzie komunalnym, a jeszcze bardziej — w dozorach kościelnych. We wszystkich ciałach komunalnych i innych instytucyach reprezentacyjnych powinno być tylu radnych narodowości polskiej, jak tego wymaga stosunek ludności polskiej do ludności tubylczej niemieckiej. Wiemy z bardzo dobrych źródeł, że w zarządzie komunalnym na obczyźnie jest dla każdego radnego Polaka bardzo wiele pola do działania na dobro swych ziomków: wymieniamy tylko choćby opiekę nad sierotami, nad biednymi (*Armenwesen*), kwestye zapomogowe i bezpłatnego leczenia na koszt miasta, oraz wskazywania pracy (*Arbeitsnachweis*). Wiadomo nam, że tam, gdzie Polacy w radach miejskich zasiadają, mogli oddziaływując na swych niemieckich kolegów zdziałać bardzo dużo dla dobra wychodźców polskich.

Polacy na obczyźnie, o ile czują się tylko dość silni, powinni głosować *na swego* na każdem polu, gdzie tylko konstytucyjne prawo nadaje im przywilej głosowania. W tem znaczeniu wiec w Dortmundzie był czemś nowem, był dalszem konsekwentnem rozwinięciem zasady, której sztandar tak silnie w tym roku zabłysnął w Duisburgu.

Dortmund jest najstarszą kolonią polską w Westfalii, a liczy on dziś około 5 tysięcy Polaków (w obrębie miasta). Jest cały szereg dzielnych szermierzy sprawy, którzy w radzie miejskiej zupełnie dobrzeby mogli reprezentować interesy ludności polskiej. Całe setki Polaków, przebywających tylko w lecie, pracują przy budowie kanałów, regulowaniu ulic, przeprowadzaniu linii tramwajowych, i t. p. pracach, gdzie przeważnie mają do czynienia z miastem, jako pracodawcą. Za tę trudną i niszczącą zdrowie pracę przy robotach ziemnych dostają 32 do 40 fen. na godzinę.

Zdaje się, że dość tylko przytoczyć te dane, aby zrozumieć całą praktyczną doniosłość, jaką mogłaby mieć dla Polaków obecność choć jednego ich reprezentanta w radzie miejskiej.

W tej też myśli z radością powitaliśmy uchwałę dortmundzkich Polaków, aby postawić własnego kandydata w wyborach do rady miejskiej.

Z innych stron wychodźtwa polskiego smutne za to nadchodzą wieści.

Mało komu może wiadomo, że w Saksonii (w królestwie saskiem) przebywa wielka ilość Polaków, zarówno jako robotników fabrycznych w przemyśle przędzalniczym, jak też i w kopalniach, cegielniach i fabrykach przetworów chemicznych. Przy robotach ziemnych, no i w polu, zatrudniona jest wielka liczba sezonowych robotników. — W Dreźnie, Lipsku, Gross-Oerner, Leimbach, Kamienicy (Chemnitz), Freibergu, Bautzen i kilku innych miejscowościach są kolonie polskie z towarzystwami. Lecz nędzne uposażenie robotnika polskiego w tych okolicach pobudza do germanizacyi, i wśród tych 20—25 tysięcy Polaków, osiadłych na stałe w Saksonii, życie i duch polski nader słabem uderza tętnem. Książek i gazet polskich czytają najmniej ze wszystkich prowincyi Niemiec — odczytów nie mają na zebraniach wcale. I oto teraz policya saska zabroniła Polakom w towarzystwach i na wiecach mówić w polskim, ojczystym języku!

Jest to pocisk tak dotkliwy, że zdusić on może całe ledwie tlejące życie polskie w wychodźtwie w Saksonii. Niechaj bracia rodacy o tem pamiętają, że cięży na nich obowiązek dodawania ducha i ożywiania tych zagrożonych okolic wychodźtwa. — Niejeden w kraju lub w Westfalii ma krewnych lub przyjaciół w Saksonii: niechajże teraz z podwójną gorliwością posyła tam książki lub gazety, namawia do kupowania elementarzy i katechizmów polskich. Zwracamy na to też uwagę *Związkowi Polaków*. Może on mógłby w tym kierunku coś zdziałać.

Wreszcie jeszcze jedno: wśród wychodźtwa polskiego w Westfalii jest kilkadziesiąt tysięcy Górnoślązaków; oni już poznali doniosłość wyborów — niechajże teraz przez osobiste lub listowne sto-

sunki wywierają na swych znajomych wpływ i zachęcają ich do pracy przedwyborczej — bo Górny Śląsk za 1 i pół roku po raz pierwszy będzie wybierał Polaków.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Czerwony sztandar.

W Lubece odbył się w roku bieżącym doroczny zjazd socyalistów z całego państwa niemieckiego. Obradowano nad rozmaitemi wewnętrznemi sprawami partyi i organizacyi partyjnej, głoszono hasło „międzynarodowej łączności wszystkich robotników,“ sprawę obrony interesów robotniczych stawiano w teoryi wyżej, niż zasadę narodowości.

A jednak — rzecz dziwna a zarazem znamienna — nawet zjazd katolików niemieckich w Osnabrücku, który pominął zupełnie sprawę polską, nie stał jeszcze wobec Polaków na stanowisku takiej wyłączności partyjnej, jak ten zjazd socyalistów w Lubece.

Bo w niemieckich „towarzystwach“ z pod czerwonego sztandaru zagrała krew hakatystyczna i zjazd w Lubece gorzej jeszcze niż odrzucił, bo przeszedł do porządku dziennego ponad sprawą uznania odrębności polskiej partyi socyalistycznej. Tak zwani polscy socyaliści nie są naszymi przyjaciołmi, są zaś zbyt słabi, abyśmy ich za naszych wrogów uważać mogli: zniewaga im przez socyal-hakatysów wyrządzona nas nie boli, nasuwa nam jednak szereg uwag na temat, jak się wogóle przedstawia sprawa socyalistycznej propagandy wśród społeczeństwa polskiego w pruskim zaborze.

Sprawa ta zasługuje na baczne rozpatrzenie już nie tyle ze względu na dotychczasowe wyniki socyalistycznej propagandy (bo wyniki te są tak nikłe, lub tak ukryte, że ich wcale nie widać) — ale ze względu na to, że socyalna demokracya jest czynnikiem, który dziś nie mogąc wcale zapuścić korzeni, jutro — na gruncie jakiejkolwiek zmiany warunków, tem bujniej się może rozwinąć.

To też istnieją dwa zdania, dwa sądy o stosunku społeczeństwa polskiego w pruskim zaborze do ruchu socyalno-demokratycznego „polskiego“ lub niemieckiego.

Jeden z nich mówi, nie bez słuszności: socyalizm krzewi się tam, gdzie panuje wielki przedział klas, gdzie są ludzie bardzo bogaci, a mało pracujący i bardzo biedni, przeciążeni pracą. U nas, w Księstwie, tego niema; u nas wszyscy są zapracowani, przedział klas wyrównywa się przez wspólną pracę nad obroną narodowości, robotnik polski widzi swego wroga nie w kapitalizmie, ale w germanizacyi; w jego oczach „wywłaszczycielami“ są różne instytucye rządowe, niesympatyczne dla Polaków jak komisya kolonizacyjna, szkoła pruska i sądy. Jeśli on się czuje *wydziedziczonym*, to nie *przez* swoje *polskie* społeczeństwo, lecz wraz z całem społeczeństwem przez system germanizacyjny. Gdzież tu teren dla socyalistycznych idei?

Lecz równolegle z poglądem tym, uznającym bezsilność agitacyi socyalno-demokratycznej w obrębie Księstwa, istnieje też pogląd, który twierdzi, że wraz z wzrastającem zubożeniem Księstwa i upadkiem ekonomicznym rosnąć musi i ruch socyalistyczny.

„Należy zatem — tak słyszymy z ust stronników tego drugiego zapatrywania — ubezpieczyć się przed agitacyą socyalistyczną za pomocą rozległej pracy socyalnej, opartej na zasadach chrześcijańskich, a zmierzającej do polepszenia bytu klasy robotniczej.“

Z całem uznaniem przyklasnąć należy tej szlachetnej idei pracy społecznej ku podniesieniu doli klas pracujących; przyjąć i wykonać ją należy jednak przez wzgląd na nią samą, nie zaś z obawy przed socyalizmem; nie zdaje się bowiem, aby dla socyalnej demokracyi była jakaś przyszłość w Księstwie Poznańskiem w obecnych warunkach. Inaczej się rzecz ma na Górnym Śląsku, jak zobaczymy później.

Dotychczasowe doświadczenia socyalistycznego ruchu i nieudane próby zaszczepienia socyalizmu w społeczeństwie wielkopolskiem zapatrywanie to w zupełności potwierdzają. Wymownie też je potwierdza i fakt, że polscy socyaliści poróżnili się z niemieckimi o sprawy narodowościowe, dowodząc tem, że w chwili obecnej nie *klasowe*, lecz *narodowe* dyssonanse są miarodajne. Przeniesienie „Gazety Robotniczej“ z Berlina aż na Górny Śląsk, do Katowic, jest też niczem innem, jak kapitulacyą socyalistycznej propagandy wobec trudności położenia; z Księstwa, które okazało się terenem nie do opanowania, propaganda ta przenosi się na zupełnie odmienny teren, — na Górny Śląsk.

Punktem operacyjnym agitacyi socyalno-demokratycznej na Księstwo Poznańskie był Berlin; że z tego punktu operacyjnego nie zrobiło się wielkie centralne ognisko socyalnej demokracyi, zawdzięczać to należy nietylko niesprzyjającym rozwojowi warunkom w Księstwie, ale i odporności berlińskiej kolonii polskiej; na nic poszły tysiące marek zasiłków udzielanych z niemieckiej kasy partyjnej, na nic kilkanaście lat wysiłków — a odbiło się to wszystko tylko o rozwijające się silnie przebudzenie ducha narodowego.

O narodowe hasła wyszczerbiła sobie zęby agitacya socyalistyczna.

Jeśli jednak tak się stało w Berlinie i w Poznańskiem, nie znaczy to, aby tak samo stać się miało i na Górnym Śląsku. Tu socyalna demokracya ma grunt dogodny i groźną stać się może.

Na Górnym Śląsku drogą stopniowej pauperyzacyi stosunki doszły do tego, że ogół polski (mianowicie w przemysłowym okręgu) — to ogół robotniczy, polepszenie bytu robotników — to polepszenie bytu Polaków; tam po jednej stronie stoją przedsiębiorcy-Niemcy, po drugiej robotnicy-Polacy. Hasło „*expropriateurs*“ obok politycznego, nabiera i socyalnego odcienia, a słowa „proletaryusze łączcie się“ są równoznaczne ze słowami „Polacy — łączcie się.“

A jeśli w przyszłości socyalna-demokracya nie opanuje Górnego Śląska, stanie się to li tylko dzięki temu, że klin narodowościowy rozszczepił i tam socyalistów na „międzynarodowych“ i na „polskich“, a powtóre dzięki temu, że ruch narodowo-polski, dotychczas sztucznie tłumiony, obecnie silnie się rozwija. Kto jednak widzi te niebezpieczeństwa, zagrażające na Górnym Śląsku „naszej sprawie“ z tej strony, ten zrozumie, dlaczego tak niezbędną jest organizacya Polaków górnośląskich pod narodowemi hasłami, — dlaczego niezbędne są wybory Polaków na posłów, choćby te wybory miało się okupić puszczeniem naszej wątłej łodzi politycznej na spienione fale ataków centrowej partyi.

Na Górnym Śląsku obrona spraw robotniczych jest zarazem obroną sprawy polskiej: to daje niesłychanie silną broń w ręce agitatorów socyalistycznych, gdyż broniąc robotnika przed wyzyskiem praco-



Katedra gnieźnieńska.

dawców, fabrykantów i przedsiębiorców Niemców, broniąc przed policyą, przed księdzem-germanizatorem *faktycznie* bronią stanu posiadania Górnego Śląska przez ludność polską. A z drugiej strony pamiętać trzeba, że te zarządy hutnicze, że ci przedsiębiorcy-Niemcy, ci księża-germanizatorzy, ta policya pruska — każdego Polaka o gorętszem sercu, o pragnieniu szerzenia oświaty wśród współtowarzyszów, każdego robotnika, co broni sprawy polskiej, szerzy gazety polskie narodowego kierunku — nazywają umyślnie: *ein socialdemokratischer Aufwiegler.* W ten sposób, chcąc tych ludzi, ze wszech miar godnych i zasłużonych dla polskiej sprawy, zabić moralnie w opinii publicznej zrobili z nich ,,socyalistów", ale oni są tacy socyaliści, jak i my wszyscy.

To jednak dodaje propagandzie socyalistycznej siły i znaczenia.

Dlatego więc, raz jeszcze powtarzamy, ten czerwony sztandar, który powiewa z głównej kwatery socyalistów polskich w przemysłowym okręgu, powinien być dla wszystkich myślących Polaków poważnem *memento,* że w przyszłych wyborach nie można robić ustępstw na rzecz niczyją.

Vester.

Nasza niezgoda.

(Artykuł z grona czytelników.)

Niezgoda jest już bardzo starą chorobą społeczeństwa naszego. Niezgoda pozbawiła nas bytu, pozbawiła nas wolności politycznej. Niezgoda to sprawiła, że wszystkie wysiłki o odzyskanie wolności spełzły na niczem, a raczej popchnęły nas w głębszą jeszcze niedolę. Niezgoda i w naszych jeszcze czasach boleśnie daje się społeczeństwu we znaki i niejedne niszczy siły. Po tylu smutnych doświadczeniach powinniśmy byli przyjść do przekonania, że jednością tylko silni być możemy. Niesłuszny robiłbym zarzut społeczeństwu, gdybym chciał twierdzić, że nie masz u nas tego głębokiego przekonania, że „zgoda tylko buduje, a niezgoda rujnuje." Owszem, przekonanie to jest tak silne, że przy każdej nadarzającej się okazyi, deklamuje się z zapałem na temat „zgoda buduje". A jednak jeszcze bardzo daleko jesteśmy od urzeczywistnienia tego ideału. Kilka przykładów z życia społecznego wziętych niech służą jako smutne potwierdzenie tej bolesnej prawdy.

Prasa nasza to siła nasza w walce ciężkiej, to przodownik nasz w boju o prawa święte, od Boga nam dane. Gazety nasze głoszą, że walczą dla świętej sprawy, głoszą, że nie ustąpią z pola walki. Ale, jakże się skończy ta walka, jeżeli gazety nasze zamiast wspólnemi siłami, ramię przy ramieniu walczyć przeciw wrogom, obracają nieraz oręż przeciw sobie samym, a walczą pomiędzy sobą nieraz z taką zaciekłośclą, że sądzićby trzeba, iż nic wspólnego nie mają, że największymi są wrogami. Mówią gazety, że są wyrazem uczuć i woli ludu, że są przewodnikami ludu. I niestety, zamiast przyświecać zawsze dobrym tylko przykładem, zamiast karcić i wykorzeniać stare nałogi, gazety nieraz utwierdzają lud w zastarzałych błędach. Wszystkie prawie gazety polskie mają jako hasło „Za wiarę i ojczyznę"; za wiarę naszą św. po ojcach odziedziczoną, za prawa od Boga nam dane, za piękny język nasz ojczysty walczyć chcemy. I przyznać trzeba, że wierne są po największej części gazety nasze tym zasadom i walczą mężnie w ich obronie, a nawet, że w tej mierze się zgadzają dosyć — ale nie walczą zwartą dosyć falangą — nie walczą wspólnemi siłami, ale każda z osobna — a tem samem społeczeństwo dzielą na obozy. A któż z tego najbardziej się cieszy — otóż nasi „najserdeczniejsi"; oni najwięcej z tego rozdrobnienia sił ciągną korzyści. Obowiązkiem tedy świętym jest, żeby gazety nasze nie tylko upominały społeczeństwo, ale aby też same przyświecały społeczeństwu dobrym przykładem, aby pomiędzy sobą w zgodzie i miłości żyły. Jeżeli jedna gazeta lub czasopismo zrobi jakiś nowy projekt, z którym inne się nie zgadzają, czyż tedy nie można rozmówić się spokojnie i rzeczowo, czyż tedy nie możliwa jest spokojna wymiana zdań? Dlaczegoż to zaraz napadać na projektującą stronę z zaciętością nieprzyjaciela, dlaczego zaraz odmawiać projektującej stronie wszelkiego zrozumienia rzeczy, dlaczego przypisywać zaraz niedobre chęci? Czytaliśmy nieraz polemiki gazet naszych tak niesmaczne, tak gorszące, tak rubaszne, że wstydzić się musieliśmy wobec obcych; staraliśmy się wobec obcoplemieńców uniewinniać jedną i drugą stronę, ale sami odczuwaliśmy i w duchu przyznać musieliśmy, że jedna i druga strona nie jest bez winy. A jakaż to przyczyna tych ostrych polemik? Myślę, że przyczyna główna to — samolubstwo, to pycha — a ztąd niezgoda. A jaka korzyść z tych swarów gazeciarskich? Żadnej korzyści one nie przynoszą, ale raczej szkodę wyrządzają gazety sobie i społeczeństwu, bo dzielą społeczeństwo na obozy. Niechże tedy gazety nasze i pisma nasze, wyrzekną się samolubstwa; niech podają sobie bratnią dłoń i w jedności i zgodzie pracują dla dobra społeczeństwa!

Jak pomiędzy gazetami nieraz niezgoda, tak samo gnieździ się niezgoda często i w Towarzystwach naszych, choć nawet tak śliczne noszą nazwy jak „Jedność", „Ogniwo" i t. p. Dużo w niejednem Towarzystwie jest projektujących, ale do zgody i jedności dojść tak trudno, bo każdy przy swojem obstaje zdaniu, jeden drugiemu nie chce ustąpić. Ci zaś członkowie, którzyby chcieli w bratniej żyć zgodzie i jedności, zniechęcają się wnet i usuwają się od Towarzystwa, w którem niezgoda panuje; ztąd Towarzystwo powoli upada, nędznie wegetuje czas jakiś, aż w końcu znika z widowni. Skarżą się nieraz Towarzystwa, że brak im tęgich przewodników — i słuszne są częstokroć ich żale. Ale przyznać też trzeba, że Towarzystwa same sobie winne, że przewodników nie mają. W każdem Towarzystwie większem znajdzie się kilku członków, którzy gorliwie zajmują się sprawami Towarzystwa; wyrobiliby się oni dość prędko na tęgich przewodników, gdyby inni nie robili im przeszkód. Ale niestety, wybitniejsi członkowie Tow. napotykają na opór reszty członków. Ten i ów, który nie jest tak zdatny, zazdrości zdatniejszemu i dlatego oponuje mu przy każdej okazyi. Jeżeli jakiś członek wybitniejszy wystąpi z nowym projektem, trafia na opór, a choćby zdanie jego było jak najlepszem, wnet daje mu ten i ów odczuć, że nie ma prawa za dużo się mieszać w sprawy Tow., że nie ma więcej prawa, niż inni i t. p. A skutek ztąd ten, że gorliwy a rzutki członek zniechęca się w końcu i usuwa. Zaprawdę, uczyć by się mogły i nauczyć dużo od nieprzyjaznych nam Towarzystw, Towarzystwa nasze. Niechże tedy obok innych haseł każde Towarzystwo polskie napisze: „Jednością silni będziemy", albo „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje". Skoro poszczególni członkowie wyzują się samolubstwa, skoro każdy członek będzie sumiennie pracował wedle sił i możności bez zazdrości i pychy i samolubstwa, Towarzystwa nasze będą silniejsze, będą też więcej działały.

Cieszymy się i dumni jesteśmy, że młodzież polska im więcej była udręczana, tem silniejszą się staje, tem gorliwszą. Ale przyznać nam niestety trzeba, że młodzież nasza nie nauczyła się jeszcze dosyć uległości i posłuszeństwa dla naszych starych weteranów. Może być, że zdania i przekonania młodszej generacyi różnią się znacznie od zapatrywań starszej generacyi. Może być, że nawet niejedne poglądy i zasady młodszej generacyi, która wyrastała w ciągłej walce, są odpowiedniejsze na nasze

czasy, niż przestarzałe nieraz zapatrywania, ale pomimo to młodzież kształcić się powinna do walki pod okiem starych weteranów, ich zasady studyować i powoli stałe wyrabiać sobie zasady — a nie dać się unosić chwilowym popędom — nie ganić i odrzucać jako stare rupieci zdań i zapatrywań starszych, którzy dużo zebrali doświadczeń w długoletnich walkach. Woła coprawda Mickiewicz: „Młodości! ty nad poziomy wylatuj,... Młodości! orla twych lotów potęga“... ale niechże młodzież pamięta, że orlęta próbują swoich skrzydeł siły pod opieką i dozorem starych orłów. Niełatwo to też popchnąć nowemi tory bryłę świata, trzeba na to dużo nauki, dużo doświadczeń, dużo siły. Nie młodzież tylko, ale całe społeczeństwo zestrzelić musi w jedno ognisko myśli, w jedno ognisko duchy — wtenczas dopiero silni będziemy. Kto się nie nauczy być posłusznym, nie będzie umiał rozkazywać, kto nie postępuje za młodu w ślady przewodników — ale od nich odbiega, ten nie będzie później umiał innych prowadzić.

Wreszcie jedną jeszcze uwagę dla całego społeczeństwa, jako też dla poszczególnych jednostek załączam. Społeczeństwo nie powinno dzielić się na obozy. Różne klasy społeczeństwa różne też mają interesy; ale jakkolwiek one są różne, ponad wszystkimi góruje jeden wspólny interes, który łączyć wszystkich powinien. A tym wspólnym interesem, tą wspólną sprawą, to zachowanie języka ojców, tej naszej pięknej mowy, zachowanie naszej narodowej odrębności i samodzielności, wreszcie zachowanie wiary. Dla tej sprawy muszą wszelkie inne ustępować. Precz więc z klasowem samolubstwem, podajemy sobie bratnie dłonie, stańmy ramię do ramienia i przejęci braterską miłością zgodnie walczmy dla świętej sprawy, a Bóg, który zasmuca i doświadcza, ale też pociesza i wynagradza, On i nam lepszej pozwoli doczekać doli.

Lector.

Odrodzenie Śląska austryackiego.

(Jako odczyt dla Towarzystw.)

Obok Śląska pruskiego (Górnego) i Śląsk austryacki wraz z Księstwem Cieszyńskiem przyciąga ku sobie myśl polską wieściami o ciężkich walkach, jakie tam przebywać musi odradzająca się nasza narodowość.

Za publikacyą znanego i zasłużonego działacza, ks. Michejdy, podajemy więc poniżej pogląd treściwy na odrodzenie się austryackiego Ślązka. *Redakcya.*

W r. 1327 Śląsk ostatecznie całkowicie i stale został odłączony nie tylko politycznie i terytoryalnie, ale także duchowo i umysłowo. Śląsk przestał nietylko należeć do Polski, ale przestał po polsku mówić, czuć i żyć. Książęta z rodu Piastów, panowie i szlachta zadziwiająco prędko zapomnieli o swem pochodzeniu. W księstwie Cieszyńskiem panowali Piastowie aż do końca 16. stulecia jako lennicy korony czeskiej. Ostatnią panującą z rodu Piastów na księstwie Cieszyńskiem była księżna Elżbieta Lukrecya, która umarła w r. 1653, a po której ks. Cieszyńskie jako lenne dobro korony czeskiej przeszło na cesarza Ferdynanda III. austryackiego. —

Już w 15, a najzupełniej w 16 i 17 stuleciu nosił kraj nasz na sobie piętno kraju czeskiego. Język czeski był na Śląsku zupełnie językiem urzędowym, językiem warstw oświeconych, językiem piśmiennym.

Z końcem 17. wieku, z panowaniem cesarza Józefa II. miejsce czeszczyzny jako języka urzędowego i jako języka używanego przez wyższe stany i oświecone klasy społeczeństwa, poczęła zajmować niemczyzna i wyparła w tym względzie w biegu bieżącego wieku czeszczyznę zupełnie, my zaś Polacy, najstarsi mieszkańcy i właściwie dziedzice tej ziemi, jesteśmy w tym względzie najmłodsi, bo życie nasze rozpoczyna się dopiero z r. 1848. Byliśmy i jesteśmy w tej ziemi niby sierota, której ojciec wcześnie, w zaraniu życia odumarł, a ojcowiznę wzięli w dzierżawę najemnicy, troszczący się nie o to, jakby oddać sierocie jej dziedzictwo, ale raczej jakby je zatrzymać i dla siebie przywłaszczyć.

A ta sierota? Starsi bracia — szlachta — pomarli. Oderwawszy się od pnia, od ludu, zatracili poczucie wspólności z tym ludem, a z niem pojęcie ojcowizny, a ponieważ nie czuli się kością z kości tego ludu, zamieszkującego ziemię, a na ojcowiznę nie patrzeli jako na cząstkę ojczyzny, więc tem łatwiej było im pozbyć się jej, nie zostało też z nich kamienia na kamieniu. Mieszczaństwo po części przynajmniej — ale tylko po części – uległo obczyźnie, mianowicie niemczyźnie. Za to lud został w całości polskim. Nie mając tradycyi narodowej, przechował wiernie i w dziwnej czystości ono najgłówniejsze i najcharakterystyczniejsze znamię narodowości, język ojczysty, w języku zaś i z nim swą polską narodowość.

Jakże się stał ten cud? W pierwszym rzędzie tem, że się o ten lud nie troszczono, że go pozostawiono samemu sobie. Jak burza huczy i przechodzi po nad naszemi głowami, tak burze historyczne i polityczne miotające tam i sam krajem naszym, przeszły ponad naszym ludem, a on został tym i jakim był, niezmienionym, jak nasze góry, rzeki i doliny. Nikt tego ludu w one burze nie wciągał, a dlatego zostawiły go też one nietkniętym. Druga przyczyna zachowania języka i narodowości polskiej na naszym Śląsku była więcej dodatnia. Nie ustała przecież nigdy i całkowicie jaka taka styczność Śląska z Polską. Pobożny nasz lud katolicki odbywał i odbywa po dziś dzień corocznie pielgrzymki do Kalwaryi a nawet do Częstochowy. Stamtąd przyniósł niejedną pieśń, którą śpiewano po domach, niejedną książkę do nabożeństwa, którą uważano jako nieoceniony skarb i czytano najchętniej.

A od kiedyż datuje się to narodowe odrodzenie księstwa Cieszyńskiego, kiedyż rozpoczął się świadomy polsko-narodowy ruch, od kiedyż zaczął lud polski na Ślązku mówić nie tylko: my mówimy po polsku, ale: my jesteśmy Polakami? W r. 1846 zawiązało się wśród młodzieży na ówczesnem ewangelickiem gimnazyum w Cieszynie, stowarzyszenie dla kształcenia się w polskim języku, w polskiej historyi i literaturze. Lecz jakże się kształcić i uczyć kiedy na całem Śląsku, a przynajmniej w Cieszynie nie było polskiej gramatyki, polskiej książki o historyi i literaturze polskiej, świeckiej książki polskiej, czy naukowej, czy belletrystycznej w ogóle? Wśród rzeczonej młodzieży wystawali nad innych gorącością serca i uczucia, energią, poczuciem narodowem i świadomością celu dwaj młodzieńcy Gdy po zawiązaniu wyżej wymienionego stowarzyszenia nadeszły wakacye, młodzieńcy owi, kilka czeskich — bo tak nazywano wtenczas, co my dziś nazywamy krajcarem — i kawałek suchego chleba w kieszeni, wybrali się piechotą w drogę do Krakowa, szukać *polskich* książek, przyjaciół do Śląska, ba więcej, *szukać matki zgubionej* — *Polski.* Młodzieńcy ci byli: Paweł Stalmach i Andrzej Cieńciała.

Po ukończeniu studyów gimnazyalnych Stalmach udał się ówczesnym zwyczajem na liceum do Preszburga. Tam wśród młodzieży wszystkich szczepów słowiańskich pogłębił i roszerzył Stalmach swe narodowe poglądy, zapisał się mimo oporu Czechów do Kółka polskiego, zaznaczając w ten sposób po pierwszy raz przed szerszym światem, że Śląsk i lud śląski są polskimi, tam powziął najprzód myśl wydawania w Cieszynie polskiego pisma. Za pomocą Dra Ludwika Kluckiego, który dał środki materyalne i podpisał się jako wydawca, za pomocą Andrzeja Cieńciały, który podczas studyów akademicznych Stalmacha objął główne współpracownictwo pisma, urzeczywistnił Stalmach swoją myśl. Dnia 6. maja 1848 wyszedł pierwszy numer „Tygodnika cieszyńskiego“, którego redakcyę od dn. 14-go objął zupełnie Stalmach. „Tygodnik Cieszyński“ przemieniony (1 mar.)

r. 1852 na „Gwiazdkę Cieszyńską“ stał się tedy pierwszem pismem polskiem na Śląsku austr. i jest prawdopodobnie najstarszem pismem polskiem wogóle. Z pismem tem jest nierozłącznie związane imię ś. p. Pawła Stalmacha. Sąd o mężu tym został przez wypadki towarzyszące końcowi jego życia zamglony i rozdwojony, ale zasługi jego bądź co bądź są stanowcze i wielkie.

Jednej wielkiej cnoty mu nikt nie zaprze, mianowicie niezłomnej wytrwałości i wiary w stosunkach nad miarę twardych, gdzie do dziś dnia trzeba wielkiej siły ducha, aby nie założyć rąk i nie zwątpić. Obok tej cnoty zdobi ś. p. Stalmacha jedna wielka zaleta, mianowicie, że od samego początku nie manewrował, nie lawirował, ale sprawę narodową postawił jasno i czysto, na swoim sztandarze wypisał jawnie i wyraźnie nietylko: my mówimy po polsku, ale: *jesteśmy Polakami*, cząstką nieodłączną wielkiego narodu polskiego, i że nawiązał na nowo stosunki między nami i narodem. To stanowisko w historyi Śląska zostanie mu niezaprzeczonem: ś. p. Stalmach jest ojcem polskiego na Śląsku piśmiennictwa i wydawnictw ludowych, ba, co większa, ojcem odrodzenia narodowego naszego kraju, a dotąd żaden z późniejszych nie dorównał mu poświęceniem, zasługą, pracą i owocami pracy.

A cóż z resztą piśmiennictwa ludowego, z wydawnictwami książkowemi? Jeszcze nim się rozbudził ruch narodowy, drukowano u nas od czasu do czasu jakąś książkę polską. O ile mnie wiadomo najstarszą przez Ślązaków z księstwa Cieszyńskiego ogłoszoną aczkolwiek w Opawie drukowaną książką, była przez trzech katolickich duchownych wydana: „Prawdziwa jedzina do nieba z pisma świentego dokazana droga“. W r. 1819 zaprowadzono w szkołach ludowych ew. polski podręcznik dla nauki religii „Nauka ewangelii Chrystusowej“, napisana przez ks. Pauliniego, a r. 1844 wyszła — jak się zdaje pierwszy polski druk cieszyński — „Zaraza gorzałki“, dla przestrogi Ślązaka i pobratymczych Sławian“, zaś w r. 1846 książeczka „O sadownictwie“ ks. Koczego, który to podręcznik sadownictwa jeszcze do dziś dnia z małemi tylko potrzebnemi zmianami mógłby być najlepszą w tej materyi książeczką ludową.

Stanowczo ożywił polskie piśmiennictwo ludowe u nas tak ważny dla naszego narodowego i umysłowego rozwoju rok 1848, co się najprzód objawiło w szkole i kościele, w piśmiennictwie szkolnem i kościelnem. Aż do tego roku urzędowym językiem wykładowym w naszych szkołach ludowych był język czeski. W r. 1848 austryackie ministerstwo oświaty publicznej rozporządziło reorganizacyę szkół, a pierwszy punkt tego rozporządzenia brzmiał: „Nauka w szkole ludowej ma się udzielać w języku ojczystym“. Do nauki w języku ojczystym było atoli trzeba książek polskich, a z tem się rząd nie spieszył. Dopiero w r. 1856 wydał rząd austryacki polski „Elementarz“, a w roku następnym „Pierwszą książkę do czytania i nauki języka polskiego“.

Wśród nauczycieli wyróżniał się zdolnościami, pilnością i gorliwością Jan Śliwka, nauczyciel przy ewang. szkole w Cieszynie. Przejął się on, nie bez wpływu Stalmacha, myślą i zasadą narodową, a stał się dla Śląska na polu szkolnictwa i piśmiennictwa szkolnego tem, czem jest Stalmach na polu naszego odrodzenia w ogóle i naszego dziennikarstwa. Już w roku 1852 wydał polskie: „Początki czytania dla polskich szkół ludowych w Śląsku austryackim“. Po tej książeczce poszedł cały szereg książek szkolnych do różnych przedmiotów szkolnych, pieśni dla dzieci, i książeczek ludowych, które się znakomicie przyczyniły do oświaty ludu. Pracę tę piśmienniczą zakończył śp. Śliwka, krótko przed swoją śmiercią „Książką do czytania dla wyższych oddziałów szkół ludowych“ w r. 1870, najlepszą w tym kierunku u nas książką szkolną, przewyższającą odnośne podręczniki niemieckie.

W nowszym czasie zawiązały się dla szerzenia oświaty wśród ludności w duchu narodowym dwa towarzystwa, jedno katolickie: Towarzystwo błogosławionego Sarkandra, założone przez ks. Świeżego, posła do Rady państwa (w r. 1873), a drugie ewangielickie: Towarzystwo ewangielickie oświaty ludowej, (w r. 1881). Towarzystwo błog. Sarkandra wydało dotąd 6 samoistnych dziełek n. p. „O męstwie chrześcijańskiem“, „Nauka o cieple“, „Istnienie Boga i duszy ludzkiej“ itd., a rozpowszechniło między ludem około 36,000 książek. „Towarzystwo ewangielickie oświaty ludowej“ wydało przez czas swego istnienia 13 dzieł i dziełek w 17 tomach, a rozpowszechniło swych wydawnictw wśród ewangielicko-polskiej ludności w obu Śląskach i na Mazurach nad 20,000 egzemplarzy. — Bardzo ważne i pożyteczne miejsce wśród naszych wydawnictw ludowych zajmują prace powyżej wymienionego Andrzeja Cienciały, dziś notaryusza i jedynego jeszcze wśród żyjących świadka początku ruchu i życia narodowego u nas. Cienciała wydał dla ludu „Podręcznik dla gmin“, zawierający ustawę gminną, służbową, wyborczą i t. d., z dokładnemi objaśnieniami, tudzież formularzami do wszelkich pism, podań urzędowych, protokółów i t. d. Następnie wydał „Poradnika prawniczego“, zawierającego jasne i węzłowate pouczania w najróżniejszych sprawach, z formularzami do kontraktów kupna, dzierżawy, testamentów i t. d. Dzieła te były i są niezmiernej dla nas doniosłości, bo za ich pomocą nasze gminy, przełożeni gmin i lud jest w położeniu radzić sobie samoistnie i w niejednym prawnym wypadku i one to umożebniły korzystanie z odrobiny danego nam przez rząd równouprawnienia, t. j. z wolności podań polskich do sądów i urzędów.

Austryacki Śląsk ma też swoją rodzimą poezyę. Zrozumiałem jest, że poezya ta rozpoczęła się od poezyi religijnej. Wszak obydwie, religia i poezya są córami niebios, a świat niebieski objawia się w duszy człowieka najpierwej w szacie religijnej. Już autorowie naszych polskich śpiewników, katolickiego i ewangielickiego, ułożyli i przyjęli do swych kancyonałów kilka pieśni. Właściwym religijnym poetą naszego Śląska jest atoli Adam Sikora, obywatel miasteczka czysto polskiego Jabłonkowa, z zawodu swego tkacz. Pieśni jego, osnute na tle ewangielicznem, odznaczające się czystością i dziwną naturalistyczną nieraz prostotą języka, doczekały się już drugiego wydania, bo się w nich dziwnie rozkochał góralski, polski lud w całym powiecie jabłonkowskim i wyśpiewuje takowe rozkrocznie w kościołach na jutrzennych nabożeństwach w Boże Narodzenie.

Właściwym atoli naszym poetą narodowym — jak go u nas powszechnie nazywają — jest *Jan Kubisz*, nauczyciel ludowy w Gnojniku, w powiecie cieszyńskim, człowiek wzniosłego umysłu, złotego serca, głębokiego uczucia, na wskroś przejęty miłością ludu i narodu i znacznego poetycznego talentu. Utwory Jana Kubisza są bardzo liczne, bo nie ma u nas narodowej uroczystości, pamiątki, święta, któregoby nie poświęcił i nie okrasił swojem piórem. Oprócz tego zbiera skrzętnie bajki rodzime ludu naszego i spodziewam się, że niebawem uraduje nas ich tak potrzebnem wydaniem. Z licznych jego wierszy i prac poetycznych pozwolę sobie wspomnieć dwie najznaczniejsze i najcharakterystyczniejsze: *Dwa dni* i *Syn marnotrawny*.

„Syn marnotrawny“ jest obrazem burz, miotających duszą naszej młodzieży, wyszłej z ludu tego, a walczącej ciężki wewnętrzny bój o swe domowe bogi, o swą narodowość. Na całym obszarze Polski, żadnemu synowi narodu naszego, prócz Śląska pruskiego i naszego, nieznany jest chyba ten bój, który zamknięty jest w słowach, wypowiedzianych w czarnej chwili przez jednego z pierwszych przewodników narodowych na Górnym Śląsku: „Ach, bo już raczej będę Niemcem

niż Polakiem.“ Czy jest to na całym obszarze ziem polskich możebnem, aby się z piersi syna narodu wydobył kiedy jęk boleści i wątpliwości: Ja nie wiem, czy mam być Polakiem?! A u nas na Śląsku jest to możebnem, tak dalece wypaczone są stosunki. Ta jest treść „Syna marnotrawnego“. Syn wieśniaka ukończył gimnazyum, żegna się z ojcem, matką, siostrą i wybiera się na wszechnicę do Wiednia. Przy rozstaniu:

„. . . gdy mię żegnał mój ojciec u progu,
To przedewszystkiem poruczył mnie Bogu,
A potem wskazał na chatę i pola
I na tę Olzę, co przez nasze niwy
Płynie — i rzekł: Gdy już taka Boża wola,
Że masz pojechać, jedź, lecz wróć szczęśliwy;
Lecz wróć mi takim, jakim teraz jedziesz,
Wróć mi z miłością do rodzinnej wioski,
I z utęsknieniem do chaty ojcowskiej,
Z tą mową, w której ślesz do Boga modły,
Z temi pieśniami, co je sobie nucisz:
Wróć ze wszystkiem we wiernej pamięci,
Co twemu sercu jest drogiem i miłem
I co się kochać wciąż a wciąż uczyłem;
A gdy cię losy w kraj obcy zawiodły,
To mi twej woli do złego nie zwiedziesz,
Nic cię obcego nie zwabi, nie znęci,
I jak mi jedziesz, tak mi kiedyś wrócisz!“

Matka nad czołem syna kreśli znak krzyża świętego, siostra przyniosła bukiet z niezabudek. Syn wzruszony tylu miłością mówi:

„Tak mi się prawie wtedy wydawało,
Jakby mię szczęście wielkie ogarniało,
Razem z boleścią i cudowną siłą
Tak mojem całem jestestwem wstrząsnęło,
Żem poznał jasno to wielkie kochanie,
Żem poznał jasno, że mi trzeba na nie
Zarabiać równem kochaniem i czynem;
Poznałem jasno, iże jestem synem
Zacnych rodziców i zacnego ludu,
Któremu trzeba pośród życia trudu
Poświęcić pracę, całą siłę młodą!
Poznałem, żem jest cząstką, członkiem żywym
Ojczystej ziemi, że jestem ogniwem
Tego łańcucha, co nas w jedność wielką
Spaja z tą matką ziemią, rodzicielką.“

Lecz to się miało zmienić, zbyt słabe jeszcze było serce, za mały jeszcze hart duszy, aby się oprzeć drwinom, naśmiewaniom z tej jego świętej miłości, gdy mu niemieccy i zniemczeni ziomkowie wykazywali:

„Polskiego ludu na Śląsku już nie ma,
A jeźli jest — nad brzegiem przepaści
Stoi, a jego już nikt nie powstrzyma
Upadku, bowiem skazan na wymarcie,
I wkrótce będzie on na dziejów karcie
Wymazan — a zasię tych szaleńców paru,
Coby to chcieli z jakąś głupią wiarą
I jeszcze z głupszą swej pracy ofiarą
W wymarzonego szału poświęcenia,
Powstrzymać chwilę tego zaginienia,
Zaginą marnie — toż próżna ich praca!
Bo przeznaczenie, co ludy wywraca,
Co je w dół spycha z nieprzepartą siłą,
Już się nad ziemią ową wypełniło!“

Lecz nie dosyć tego, oto wykazali mu oni wyrodcy nadto:

„Gdzie Polska dzisiaj? W upadku się chwieje,
Dni swoich końca doszły już jej dzieje,
Ze życia wyżyn lada dzień ją stoczy
I los jej piasku nasypie na oczy!...
Lecz lud niemiecki dziś pierwszeństwo trzyma
Pośród narodów, on siłą olbrzyma
Hetmaństwo ludów na ziemi osiągnął,
On rydwan dziejów swą mocą zaprzęgnął!
. . . .
„I wydał mi się lud mój taki mały,
I taki lichy i taki bez chwały,
Że po raz pierwszy w życiu się wstydziłem
Mojego rodu!“

W tej ciągłej walce omdlały siły młodzieńca, siła odporna stawała się coraz słabszą, upadł, wyparł się swoich i przepasał się przepaską: *Verein deutscher Jugend aus Ostschlesien.* Co się dalej działo, nie mogę wszystkiego przytaczać, lecz szło mu, jak zawsze przeniewiercom, jak tym, co przytłumią głos serca i sumienia:

„...Karmiłem się młotem
Pogardy, albowiem chociaż zdrajcom płacą...
Jednak się brzydzą nimi i ich pracą;
Bowiem, kto ziarna takie swą wysiewa
Ręką, nie będzie miał pociechy z żniwa!
Bowiem przekleństwem jest podłej przewiny,
Że wróg zje ziarno, tobie da — łupiny!
Brzmiał w piersi mojej jak głos potępienia
Mojego czynu. Uczułem więc piekło
W mojej duszy; coś mi we wnętrzności siekło,
Gdyby głód straszny!“

Przyszła chwila opamiętania, skruchy, powrotu, modlitwy:

„Przeciwko Tobie, zgrzeszyłem mój Boże!
Każde z Twych stworzeń Tyś pomazał znakiem,
I mnieś na ziemi dał zostać Polakiem!
A ja z pogardą znak ten odrzuciłem;
Przeciwko Tobie, Boże mój, zgrzeszyłem!

Przeciwko tobie zgrzeszyłem mój ojcze!
Bo pohańbiłem czyste twoje imię,
Bom podniósł ostrze pogardy zabójcze,
By niem wytępić własne swoje plemię!
Ja się mej mowy ojczystej wstydziłem:
Przeciwko tobie, ojcze mój, zgrzeszyłem!

A kiedy wrócił syn twój marnotrawny,
Co się w obczyźnie dał w podłą usługę,
Racz go powrócić w stan godności dawnej,
Lub go przynajmniej chciej przyjąć za sługę,
A będzie służyć wiernie i wytrwale,
Ku Bożej chwale i ku twojej chwale!“

Prace Jana Kubisza nie są bez poetycznej wartości, bez uczucia poetycznego i bez pięknej formy poetycznej. Dla nas mają jeszcze inną, podwójną wartość. Raz są nam świadectwem, żeśmy się rzeczywiście obudzili i odrodzili. Dopiero wśród obudzonego, o swój powrót z niewoli egipskiej do ziemi obiecanej walczącego ludu, może powstać śpiewak narodowych walk, bolów, ideałów i nadziei. Powtóre prace te poetyczne obudziły i budzą narodowego ducha wśród młodzieży naszej, przyświecają mu i ogrzewają jej serca nie bez skutku. Co raz to większy zastęp młodzieży w szkołach średnich i wyższych nie ginie nam, ale wraca do progów rodzinnych „a będzie służyć wiernie i wytrwale“.

Z TYGODNIA.

Poznań, 8 października.

Skutki awanturniczej wyprawy chińskiej coraz więcej dają się we znaki Niemcom. Już niefortunny przebieg misyi pokutniczej, na której czele stał książę Czun, brat cesarza chińskiego, wywołał wielkie rozczarowanie wśród dumnych na swą potęgę Prusaków, albowiem wynik jej wykazał wyższość dyplomacyi chińskiej nad niemiecką; obecnie jeszcze jedna ciekawa sprawa rozbrzmiewa tak wielkim rozgłosem po całym świecie, że Niemcy ze wstydu gotowi zakopać się w ziemię.

A rzecz ma się tak: Potomkowie żądnych grabieży Krzyżaków przybywszy na ziemię „barbarzyńców mongolskich“ zapomnieli, że nawet poza obrębem cywilizowanej Europy powinni przestrzegać prawa międzynarodowego, które zakazuje rabunku — i przez „omyłkę“ zabrali z sobą instrumenty astronomiczne, ustawione w Pekinie przed kilku wiekami przez Jezuitów. Przyrządy te mają wielką wartość jako zabytki archeologiczne; nie dziw więc, iż Prusacy dbając o ich zachowanie dla przyszłych pokoleń, które lepiej od „barbarzyńskich“ Chińczyków umiałyby poznać się na ich wartości dla świata astronomicznego, z wszelkim szacunkiem dla takich staruszków przewieźli je do Europy i ustawili w Poczdamie. Tam też, jak wieść niesie, zjechało się mnóstwo hakatystów, którzy zgnębieni na myśl, że żadnym sposobem nie mogą wyrzucić nienawistnych Polaków z granic niemieckiego „Vaterlandu“, wpadli na taki koncept. Skierowali oni lunety w wszechświat niebieski, by za ich pomocą wyśledzić planetę, na której osiedlićby się mogli i pędzić żywot spokojny, niezakłócony widokiem „zmory“ polskiej. Czy już odkryli planetę, z której przyświecać będą na przyszłość cywilizacyi europejskiej, nie wiadomo — to tylko pewne, że naraz ktoś, nie-hakatysta, zamieścił w pewnym dzienniku wzmiankę, że wspomniane przyrządy astronomiczne nie są legalnie nabyte, więc należy je wrócić właścicielowi. Nuż rwetes! Zakomunikowano na prędce rządowi chińskiemu o tym wypadku z prośbą, aby był łaskaw postarać się o powrotne ich przewiezienie do Chin, lecz — *risum teneatis*! — owi „barbarzyńcy mongolscy“ z niezwykłą nawet u niektórych narodów cywilizowanych wspaniałomyślnością zrzekli się wszelkiego prawa własności i pozostawili przyrządy do dyspozycyi tym, którzy je „zabrali.“

Co teraz Niemcy z tym fantem zrobią, nie wiemy i mało też to nas obchodzi; to tylko ciekawe, że nikt nie chce teraz wiedzieć, z czyjej inicyatywy lunety jezuickie znalazły się naraz w Poczdamie. Jedni tym, drudzy innym przypisują winę. W każdym razie świadczy to źle o armii, która uchodziła dotąd za najbardziej „udyscyplinowaną", a co do przekroczeń rygoru wojskowego wypadek ten nie jest jedynym. Przeglądając dzienniki niemieckie, nieomal codzień spotykamy się z wzmianką o wykroczeniach służbowych w armii niemieckiej. Świeżo zwróciły uwagę szerszych kół społeczeństwa, nie tylko niemieckiego, ale także zagranicznego, zajścia na krążowniku „Gazelle", którego załoga prawie wprost wymówiła posłuszeństwo przełożonym, a uczyniła to podobno dlatego, że była przeciążoną służbą i tak już zbyt ostrą. Dochodzenia są w toku; aresztowano już kilkunastu z załogi, a kapitan statku podał się do dymisyi.

Coś się nie klei w państwie „bojaźni bożej." Pominąwszy coraz to częstsze krachy bankowe, świadczące bardzo ujemnie o poczuciu moralności niemieckich kół finansowych, a podkopujące w przerażający sposób stan ekonomiczny ojczyzny naszych najserdeczniejszych, rozprężenie ukazuje się także na innem polu. Otóż stolica państwa niemieckiego, Berlin, sprawia i rządowi i cesarzowi Wilhelmowi dużo kłopotów. Sprawa nadburmistrza Kirschnera, którego cesarz przez długi czas nie chciał w urzędowaniu potwierdzić; spór o przyozdobienie cmentarza Friedrichshain; apostrofa marszałka dworu cesarzowej, hr. Myrbacha, wystósowana do Rady miasta Berlina z powodu jej wolnomyślnego usposobienia wobec religii; niezatwierdzenie radcy miejskiego Kaufmanna, wybranego drugim burmistrzem miasta Berlina; odmówienie przez cesarza pozwolenia na przecięcie ulicy „Pod Lipami" torem kolei elektrycznej — oto spis spornych kwestyi pomiędzy cesarzem, a stolicą Niemiec i Prus. Sprawa przeprowadzenia toru kolei elektrycznej przez ulicę „Pod Lipami" nabrała charakteru politycznego i dzienniki berlińskie w artykułach wstępnych odmawiają cesarzowi prawa mięszania się do spraw miejskich. Wilhelm II żąda, ażeby przeprowadzono kolej podziemną pod ulicą „Unter den Linden", magistrat w memoryale oświadczył jednakże, iż to ze względów technicznych jest niemożliwem. Jakkolwiekbądź skończy się ten spór, faktem pozostanie, że samowola korony zbyt dotkliwie ciąży na wewnętrznych stosunkach stolicy.

Także w państwie austryackiem rozprężenie polityczne ukazuje się na każdym kroku. Cztery miliony Niemców chcą tam przywodzić siedemnastu milionom Słowian i sierdzą się, że się to nie udaje. Bo też Słowianie, a na ich czele Czesi, walczą z całą energią o prawa im się przynależące. Czują oni, że tylko skupiając wszystkie siły wyjdą wreszcie z walki narodowościowej zwycięzko. Dowodem tego jest kompromis Młodoczechów z Staroczechami, którzy na czas wyborów do sejmu ułożyli się popierać w każdym okręgu obopólnych kandydatów tak, aby żaden Niemiec nie osiągnął mandatu. Niemcy ze swej strony wytężają wszystkie siły, by nie ponieść porażki, lecz mało mają widoków zwycięztwa, chociaż nie przebierają w środkach.

Najnieuczciwszym takim środkiem jest propaganda ruchu *Los von Rom*, popieranego moralnie, a zwłaszcza materyalnie przez hakatystów luterskich rzeszy niemieckiej. Niestety tysiące katolików niemieckich dało się skusić podszeptom wyznawców nauki Lutra i wystąpiło z Kościoła katolickiego. Widać więc, że Niemcy nawet uczucia religijne poświęcają zaciekłości rasowej, że oni właśnie są mniejwartościowymi katolikami, a nie Polacy, którzy za nic w świecie nie odstąpiliby od wiary ojców swoich.

W ten sposób prowadzona walka rasowa w Austryi nigdy nie może wyjść na korzyść Niemcom, jak wogóle każda walka rasowa nie przynosi ani chwały, ani sukcesów materyalnych narodom rzekomo silnym, gnębiącym słabszych. Widzimy to najlepiej w Afryce Południowej. Silna i dumna Anglia napadła na słabszy liczebnie naród burski, myśląc, że jednym zamachem zagarnie Transwaal i Oranią pod swe berło opiekuńcze. Lecz grubo się omyliła.

Po dwóch latach zaciętej walki wykazuje się, że sytuacya na korzyść Burów, a nie Anglików się obróciła. Generał Kitchener nie jest w stanie doprowadzić do skutku tak często już zapowiadanego ostatecznego podbicia szlachetnego tego narodu. Jedyny ratunek widzi on jeszcze tylko w najskrajniejszej walce tępienia bezmiłosiernego, lecz odpowiedzialności za to nikt przyjąć nie chce w Londynie. Groźba generała, iż poda się do dymisyi, z tego tylko wynika źródła, podczas gdy angielskie ministerstwo wojny po wszystkich usiłowaniach daremnych, jakie czyniło celem zakończenia niechlubnej kampanii, najchętniej zwaliłoby winę na generała komenderującego.

Mimo barbarzyńskiej cenzury telegraficznej, mimo w zręczny sposób wystylizowanych depesz Kitchenera, głoszących o rzekomych zwycięztwach Anglików, opinia publiczna całego świata jest teraz dostatecznie przekonana, że opór Burów nie osłabł jeszcze, przeciwnie się spotęgował. Uzasadniona dotąd przewaga polityczna Anglii wobec cywilizowanych i półcywilizowanych narodów zaczyna chwiać się i tracić grunt pod nogami, a doszło już do tego, że dumna ta córa morza różnych musi używać fortelów, by nie uwikłać się w zatarg z państwami, czyhającemi na jej zagładę.

S. Wcz.

Przegląd prasy.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca odbył się w Lubawie, w Zachodnich Prusach, doroczny Sejmik Związku Spółek zarobkowych. Delegaci zjechali się licznie, rozprawy toczyły się, jak zwykle, przedmiotowo wyłącznie około kwestyi fachowych.

Stwierdzono, że do Związku należy 126 Spółek, które liczą 53,505 członków i posiadają (w formie udziału członków, kapitału rezerwowego i funduszów na lokacyi procentowej złożonych) ogółem przeszło 53 i pół miliona marek.

Stowarzyszenia te stanowią więc dziś potęgę finansową, pracującą z wielkiem powodzeniem w interesie mniej zamożnych sfer miejskich i wiejskich. Wiadomo też, jak wielkie zasługi położyły one wobec rozwoju naszego dobrobytu.

To też trafnie i sprawiedliwie ocenia ich zasługi i działalność zakordonowa prasa polska. Przytaczamy interejący artykuł p. A. Donimirskiego, ogłoszony w warszawskiem „Słowie" z powodu zjazdu Spółek:

„Jeżeli w ostatnich trzydziestu latach dobrobyt włościan w Poznańskiem i rzemieślników w miasteczkach stosunkowo olbrzymio wzrósł, wspomniane stowarzyszenia mają wielki udział w zasłudze około tego. Z chwilą zorganizowania się w związek, co dziś dla tego rodzaju stowarzyszeń w Prusiech jest obowiązkiem, „spółki zarobkowe" wzmocniły warunki bytu swego, bo zapewniły sobie i kontrolę i pomoc wzajemną.

„Najmniej liczne wśród stowarzyszeń poznańskich, są stowarzyszenia spożywcze. Istotnie może one tam mniej są potrzebne, bo gdyby były potrzebne, toby tak samo, jak inne stowarzyszenia powstawały. Ale konkurencya w handlu w Prusiech tak jest rozwinięta, że ona sama obniża ceny towarów, a kupcy za pośrednictwo swoje zadowalają się często tak minimalnym zyskiem, że nawet stowarzyszenia spożywcze z nimi konkurować nie mogą.

„Otóż zdaje nam się, że pod tym względem stosunki sąsiednich prowincyj pruskich nam tutaj za wzór służyć nie mogą. I tu dostanie się tanio towaru, ale wtedy jest to zwykle ostatniego rodzaju tandeta, a w wielu kierunkach istnieje wyzysk na wielką skalę.

„W takich warunkach dziwnem się wydać musi, że np. tak dawno istniejące stowarzyszenie spożywcze, jakiem jest „Merkury," należycie rozwijać się nie może i przypisać to można jedynie niedołężnemu kierownictwu. Prawdopodo-

bnie polega ono pomiędzy innemi i na tem, że kierownicy nie umieją wyszukać przedmiotu, na który przedewszystkiem należy zwrócić uwagę. I tak: „Merkury“ dostarcza wszystkich przedmiotów codziennej potrzeby, ale np. węgla nie dostarcza. A przecież jest to właśnie przedmiot, na którym konsumenci na największy wyzysk są narażani.

„Dobrze zorganizowane stowarzyszenie spożywcze mogłoby i powinnoby wyzyskowi temu położyć koniec. Tak czyni „Consum-Verein“ we Wrocławiu, bardzo dobrze prowadzony i prosperujący. Wszak w ubiegłym roku kilka stowarzyszeń filantropijnych zdołało utrzymać cenę węgla na pewnym poziomie, wprawdzie nie zbyt nizkim, ale konsumenci haracz przynajmniej płacili na korzyść instytucyi filantropijnych. Co będzie tej zimy — nikt jeszcze nie wie. Zanosi się znów na wyzysk haniebny, jeżeli publiczność zbiorowemi siłami mu nie przeszkodzi.“

Za zaszczyt, na całą prowincyą spadający, możemy sobie uważać, że nasze instytucye finansowe jako przykład dla innych dzielnic Polski służyć mają.

Aby dać choć krótki pogląd na tok rozpraw na Sejmiku, przytaczamy za **„Dziennikiem Poznańskim“** skrócone sprawozdanie z obrad:

„Spółek wszystkich jest 126; zebranych w Lubawie delegatów było 69 i reprezentowali 50 Spółek.

„Ks. patron Wawrzyniak zabrawszy głos, wspomniał o niemiłej sprawie z powodu zarzutu, uczynionego mu przez p. Wyczyńskiego. Dalej mówił o tem, że w zeszłorocznym sejmiku uchwalono ogłosić go dożywotnim patronem i w tym celu zmienić ustawy Związku. Ks. patron jest temu przeciwny. Ile mu życia i siły starczą, będzie pracował, a sejmik może co 3 lata wybierać go na patrona.

„Na wniosek ks. patrona wybrano marszałkiem sejmiku p. szambelana Cegielskiego. Tenże podziękował za wybór, dał ogólny pogląd na rozwój Spółek, podniósł potrzebę starannej kontroli, a przytem konieczność łączności i zgody — w tych ciężkich czasach.

„Obradom przysłuchiwał się reprezentant regencyi kwidzyńskiej.

„Ks. patron daje szczegółowy pogląd na stan Spółek, poczem nastąpiła krótka dyskusya.

„Przy kwestyi, stawionej na porządku obrad: Pod jakiemi warunkami ma Bank Związku przyjmować depozyta i Spółkom udzielać kredytu? — zabierali głos ks. patron Wawrzyniak, wicepatron dr. Rzepnikowski i dr. Kusztelan, dyrektor Banku Związkowego. Wszyscy trzej przemawiali za tem, że kredyt, udzielany Spółkom przez Bank Związku na rachunek bieżący — bez wekslu — może sięgać tylko do wysokości akcyi, wziętych przez Spółki w Banku związkowym. Spółki, żądające kredytu w Banku po za tę wysokość, muszą dawać weksle.

„Na drugi dzień, d. 26-go z. m. po odprawieniu mszy św. przez ks. patrona, zagaił obrady marszałek p. Cegielski, a ks. patron dał pogląd na stan Spółek. Mówił przy tem, że rząd śledzi nasze Spółki, zbiera od nich wiadomości na drodze pobocznej, zamiast ich zasięgać od patronatu. Podniósł niewłaściwe postępowanie rządu, nakładanie kary porządkowej na członków zarządu niektórych Spółek bez prawnego powodu i zapewniał, że Spółki pracują na podstawie prawnej, dlatego nie potrzeba się lękać o ich całość.

„Po załatwieniu niektórych spraw formalnych, objaśniono, że sądy nie mogą żądać, aby pieniądze, złożone w Spółkach jako depozyt w razie śmierci depozytaryusza w interesie małoletnich dzieci zostały ze Spółek wzięte i ulokowane w kasach powiatowych lub innych rządowych. Przepis taki może się odnosić tylko do gotówki, znalezionej u depozytaryusza po jego śmierci, ale nie do depozytów, złożonych przez niego w Spółce jeszcze za życia.

„Ks. Patron ganił, że zamożniejsze jednostki składają depozyta w obcych bankach.“

Wielkiej wrzawy narobiła po pismach rozmowa, jaką socyalistka, Róża Luxemburg, miała w Poznaniu z reprezentantem redakcyi **„Kuryera Poznańskiego“**. Pani Luxemburg wyjawiła swe zapatrywania na rozmaite sprawy, a między innymi poruszyła też zamiary partyi socyalno-demokratycznej niemieckiej, do której się zalicza, wobec Górnego Śląska. Oto jej słowa:

„Jak się Pani zapatruje na wybory górnośląskie, w których przecież Pani wiadomo, że ślązcy Polacy-katolicy będą, o ile tu i owdzie nie nastąpi kompromis z centrum, stawiać własnych polskich katolickich kandydatów. Czy będziecie tam z nimi walczyć?

„ — To zależy od okręgów, a zależy także od indywidualności stawionych kandydatów. Zasadniczo nie postanawiamy walki z wami. Wybieramy zawsze mniejsze złe z punktu widzenia naszego stronnictwa. Podczas kulturkampfu i nieraz później jeszcze popieraliśmy wybory centrum tam, gdzie przeciw centrum stał konserwatysta. Dziś, gdy centrum tak blisko stoi rządu, w razie walki centrowca z narodowcem Polakiem, poprzemy oczywiście tego ostatniego. Chodzi tu o wybory ściślejsze, bo my przy wyborach pierwszych będziemy stawiać własnych kandydatów.

— „Jakie okręgi na Górnym Śląsku uważa Pani za najbardziej wskazane dla agitacyi socyalistycznej?

— „Bytomski, Katowicki, Gliwicki i wogóle przemysłowe dystrykta.

„W Gliwicach np. mieliśmy przy ostatnich wyborach dość znaczną liczbę głosów. Razem na Górnym Śląsku głosowało 25000 polskich robotników za nami.

— „Co pan sądzi wogóle o charakterystyce stronnictw parlamentarnych?

— „Stronnictwa parlamentarne a tak samo stronnictwa społeczne i polityczne w kraju chorują wszystkie z wyjątkiem naszego na jeden błąd kardynalny. Zaraz go Panu dokładnie określę. W waszych stronnictwach mniej lub więcej zachowawczych decydują o znaczeniu ludzi najrozmaitsze względy, których u nas nie ma. Stanowisko, wiek, powaga tradycyi, urzędu, nazwisko, zasługi przodków, lub nawet własne z dawniejszych czasów, oto nieraz główne motywa, dla których u was ludzi stawiają na świeczniku społecznym, dla których oddają temu lub owemu kierownictwo instytucyi społecznych lub politycznych. W waszych stronnictwach wartość zależy często od tego, co powiedział. Im znaczniejsza osobistość coś wygłosi, tem to dla waszych kół jest miarodawczem. U nas inaczej. U nas jedynym względem, dla którego ludzie znaczą i decydują w partyi, jest dzielność, inteligencya, czysty pożytek, który partya z nich odnieść może.“

Skwapliwie czytać będziemy przyszły numer *„Gazety Robotniczej“*; ciekawą bowiem rzeczą będzie, jak też polscy socyaliści zapatrywać się będą na te daleko sięgające zamiary swej nieprzyjaciółki.

Wszechwładna na Górnym Śląsku policya dokazała niedawno sztuki nielada — oto na terytoryum austryackiem, w Galicyi, postanowiła wykonywać kontrolę nad Polakami. Pisze o tem **„Głos Narodu“**:

„Ponieważ pruskie władze policyjne robią niezmierne trudności naszym Polakom na Górnym Śląsku, przeto od dłuższego już czasu weszło w zwyczaj, że Polacy z Katowic, Mysłowic i z innych miejscowości okręgu przemysłowego, przy sprzyjającej pogodzie urządzają wycieczki na stronę austryacką, aby tu na gościnnej ziemi w pełni używać konstytucyjnych wolności.

„Taką otóż wycieczkę urządziło w ubiegłą niedzielę liczne grono Polaków z Górnego Śląska do pogranicznej stacyi Brzezinki, aby stąd po przejściu granicy pieszą zrobić przechadzkę, swobodną od widoku dozorujących pruskich policyantów.

„Już będąc na ziemi księstwa krakowskiego, spostrzegli Górnoślązacy pomiędzy sobą kilka dobrze znajomych, ale mimo to obcych twarzy: żandarmi pruscy, przywdziawszy cywilne ubranie wmięszali się pomiędzy wycieczkowiczów, licząc na to, że wobec znacznej liczby uczestników wycieczki, pozostaną niepoznani i będą mogli dozorować każdą mowę, każdy ruch, każdą śpiewkę polską.

„Gdy ich rozpoznano, jeden z uczestników wycieczki poprosił obu niepożądanych gości grzecznie, aby opuścili towarzystwo Polaków.

„Dzięki interwencyi jednego z miejscowych obywateli, który groził odwołaniem się do policyi austryackiej, udało się pozbyć nieproszonych gości, którzy wśród powszechnych głosów oburzenia musieli wreszcie cofnąć się za pruską linię graniczną.

„Sprawa ta jednak miała przykry epilog dla uczestników wycieczki: przy powrocie bowiem, w pogranicznej stacyi w Brzezince żandarmi pruscy, tym razem już w pełnych uniformach, zarządzili osobistą rewizyę rozmaitych członków wycieczki, poszukując niby to zakazanych broszur itd. Z kilku Polakami spisano prototokół policyjny o noszenie zabronionych (?) w Prusach uniformów sokolskich. (Na uniformach tych mieli Górnoślązacy zapięte szczelnie palta cywilne, a czapki sokolskie trzymali w kieszeniach.)“

Dodajemy, że nie pierwszy to raz już policya pruska towarzyszy naszym rodakom i po za granice państwa.

Wobec energicznego poruszenia tej sprawy przez całą prasę galicyjską zdaje się, że ambasador austryacki da w Berlinie do zrozumienia, że policyi pruskiej w Austryi zupełnie nie potrzeba.

„Dziewczęta polskie trzeba germanizować!“ Takie zdanie wypowiedział w tych dniach pewien powiatowy inspektor szkolny w Księstwie Poznańskiem. Przybył on na wieś do szkoły i zauważył, że chłopcy umieją lepiej po niemiecku, aniżeli dziewczęta; wskutek tego zapytał nauczyciela, jaki jest powód takiego objawu. Nauczyciel odpowiedział, że przedewszystkiem stara się chłopców wykształcić w niemieckim języku, który im będzie potrzebny, gdy pójdą do wojska lub udadzą się na obczyznę. Na to rzekł inspektor szkolny:

— Właśnie dziewczęta trzeba przedewszystkiem niemczyć, gdyż to są przyszłe matki, które powinny z mężami i dziećmi swemi po niemiecku mówić.

Nawiązując do tego wypadku, pisze pewien Niemiec katololik do katolickiej **„Schlesische Volksztg.“**:

„Skoro powiatowi inspektorowie szkolni i im podobni ludzie zdołają kobiety i dziewczyny polskie przekonać, iż obowiązkiem ich jest z mężami i dziećmi po niemiecku rozmawiać, to też dopiero liczyć będą mogli na to, iż ich usiłowania germanizacyjne odniosą pomyślny skutek. Czy to jednakże kiedykolwiek nastąpi, o tem musi każdy wątpić, kto zna Polki.

„Bo właśnie Polki stawiają wprawdzie bierny, ale najenergiczniejszy opór germanizacyi. Choćby młodej Polce, nawet z najniższych klas ludu pochodzącej, sto razy tłómaczono, że ona jest Niemką, to jednak pozostanie ona — nie protestując otwarcie — tem więcej w duszy Polką. Natomiast synowie i chłopcy myślą częstokroć inaczej. Wielu z nich pragnie, skoro tylko wrócą z wojska, odgrywać rolę niemieckich „kulturträgerów“; mówią łamanym językiem niemieckim, a przywdziewając „myckę“ żołnierską, szczycą się, że są innymi i lepszymi, aniżeli reszta mieszkańców we wsi. Niedługo to jednak trwa, gdyż wkrótce zarzucają znów język i strój obcy, a to z tej wszystko czynią przyczyny, że dziewczęta polskie nic o nich wiedzieć nie chcą i kpią sobie bezustannie, z t. zw. „Niemca“.“

Świadectwo to, wystawione przez Niemca Polkom, przypomina wypowiedziane ongi przez Bismarka zdanie, że największą zaporą dla germanizacyi jest Polka i jej ognisko rodzinne.

Polki, bądźcie dumne z tego!

B. M.

Korespondencye „Pracy“ i listy Przyjaciół.

Bochum (Westfalia).

Szanowna Redakcyo!

Towarzystw polskich mamy w Westfalii przeszło sto, lecz muszę otwarcie powiedzieć, że niektóre z nich są jakby martwe; tylko tyle ich zasługi, że istnieją. Dla oświaty prawie nic nie czynią, niema w nich żadnych odczytów, żadnych wykładów; członkowie przyjdą na posiedzenie, zapłacą składki miesięczne, cokolwiek sobie pogawędzą, a czasem radzą o urządzeniu zabawy w rocznicę założenia tow. o urządzeniu gwiazdki, o święconce, o przyjęciu biskupa, a czasem też o jakimś jubileuszu niemieckim, jak się to na niego przygotować (np. Leimbach lub Dortmund), jednem słowem jest to cała praca niektórych towarzystw tutejszych; jedno tylko pochwalić można t. j., że istnieje kasa dla chorych, która już w wielu towarzystwach bardzo członkom pomogła.

Tego powodem jest tylko brak ludzi odpowiednich do pracy w towarzystwach, bo jeżeli przewodniczący szczerze się tem nie zajmuje i zupełnie nawet niesłusznie nosi tytuł przewodniczącego, to można sobie wyobrazić co się w tem tow. dzieje. Mianowicie też i wpływ księży germanizatorów najlepsze zamiary nieraz psuje. A jakich tu przewodniczących mamy w niektórych towarzystwach? Jeden ma żonę Niemkę — rozumie się, że już i dzieci są zniemczone, drugi znowu chociaż żonę ma Polkę to dzieci ich zniemczone, nie mówią po polsku a jeżeli mówią to tak aż nieprzyjemnie słuchać — inni znowu mówią dwa słowa po polsku a trzecie niemieckie i to na posiedzeniach towarzystwa polskiego, a takich panów przewodniczących jest bardzo wielu. Naturalnie nie stosuje się to do wszystkich towarzystw, lecz do niektórych. A teraz cokolwiek o życiu prywatnem tutejszych Polaków. Jest znaczna część takich, którzy są oszczędni, czytają polskie gazety i książki, wierzą w lepszą przyszłość naszego narodu, ale niestety mamy wielką liczbę takich, którychby nazwać można wyrzutkami społeczeństwa polskiego, którzy przychodzą tu na obczyznę i tylko hańbią imię polskie. Ci ludzie po pracy nie trudnią się czem innem jak karciarstwem i pijaństwem, gazet polskich nie czytają; a gdy się przyjdzie do ich mieszkania to tam nie widać polskiego obrazu, ale za to pełno u nich na ścianie niemieckich bohomazów.

Jednem słowem tacy Polacy karciarze i ci, którzy dzieci swoje po niemiecku uczą a nie po polsku, to są ludzie ciemni, nie mający żadnej oświaty, ani nie wiedzą, że Polska kiedyś była wielkiem państwem i sławnem, że mieliśmy tak wielu sławnych mężów jak Kościuszko, Mickiewicz, Słowacki a teraz Sienkiewicz i inni.

Mamy też wielu księży - Niemców, którzy pod względem narodowym stawiają zapory dla naszego ludu a przecież duchowieństwo ma wielki wpływ na lud. Dobrze by było, gdyby w każdej parafii u nas w kraju założono towarzystwo robotników i pouczano ich na zebraniach, tak, aby gdy opuszczą Ojczyznę nie zapomnieli zaraz o niej — lecz pracowali dla niej całe życie. Przekonałem się, że taki robotnik, który z oświatą wyjeżdża na obczyznę, nie ginie dla Ojczyzny lecz staje się filarem polskości na obczyźnie, poznałem wielu takich, którzy wyjechali na obczyznę, bez najmniejszego poczucia narodowego, bez żadnej oświaty, lecz przyjechawszy tu, dostali się zaraz do dobrych gorliwych Polaków i wiernie dziś stoją przy sztandarze polskim. Lecz tacy, którzy tu przyjadą a nie posiadają poczucia narodowego, wpadną w ręce złych ludzi lub Niemców, giną dla nas, albo przynosząc tylko hańbę Polakom tu na obczyźnie, albo też stają się sami wrogami polskości.

K. J.

Boyer obok Bottrop.

Bottrop z miejscowościami Boyer, Eigen itd. liczy przeszło 24 tysięcy mieszkańców, 3 kościoły, z tych 2 katolickie a 1 ewangelicki, na trzeci katolicki już zaś materyał zwożą. Katolickich księży mamy tutaj 7 i często się zdarza, że im jeszcze niemieccy misyonarze przychodzą z pomocą.

Żydów jest tutaj przeszło 100, więc pozostaje 22 tysiące katolików na 7 księży katolickich niemieckich. Polaków jest przeszło 8 tysięcy tj. przeszło trzecia część mieszkańców Bottropu. A księdza Polaka nie ma ani jednego. Gdybyśmy byli w barbarzyńskich Chinach, toby się z pewnością nikt temu nie dziwił, ale my przecież jesteśmy w cywilizowanych Prusach! A nasz tutejszy proboszcz — zapewne sobie niejeden pomyśli, że to nasz dobrodziej — nie zajmuje się wcale Polakami.

Jest tu 1) tow. św. Barbary, 2) tow. św Jacka, 3) tow. św Stanisława Kostki, 4) tow. „Kriegerverein“. W tem ostatniem towarzystwie używają tylko wtedy języka polskiego, jeżeli się już nie mogą po niemiecku porozumieć. — Wszystkie 4 towarzystwa liczą około 200 członków.

Wierny czytelnik „Pracy.“

* * *

Disteln (Westfalia.)

Szanowna Redakcyo!

Disteln liczy 600 Polaków. Trudnią się oni najwięcej górnictwem, pracują dziennie 8 godzin i zarabiają 4,50 do 5 50 mk. Mamy tu także kilku przemysłowców, którzy mają składy kolonialne, tak samo jest tu wielu Polaków rzemieślników, jak krawców, szewców, kowali i innych.

Disteln posiada od 15 lutego swój filialny kościół. Jest tu także polskie Towarzystwo „św. Ludwiki“, założone 23-go września 1900, które liczy członków 103. Polacy pracują tu wspólnie i zgodnie ze sobą. Księdza polskiego nie mieliśmy ani razu, co odczuwamy bardzo. Najbardziej jednakże przykrem jest dla nas to, że nie mamy spowiednika polskiego, a najwięcej odczuwają to niewiasty polskie, gdzie ich tu naliczyć można 83. —

Gdyby to Polacy germanizacyę swych dziatek więcej zwalczali, byłoby nam wszystkim o wiele lepiej.

Miejscowość pobliska Recklinghausen, jest to miasto powiatowe, liczące przeszło 7 tysięcy mieszkańców. Polaków liczy samo miasto Recklinghausen do 250 dusz. Zaś miejscowości należące do kościoła parafialnego: Berghausen, Hillerheide, kopalnie Blumenthal liczą Polaków ogólnie 800. W mieście Recklinghausen znajduje się Towarzystwo polsko-katolickie pod opieką „Serca Jezusowego“ założone w roku 1892 i liczy członków siedemdziesiąt. Księdza polskiego mieliśmy w Recklinghausen roku zeszłego 3 razy, lecz i tam jest niewystarczająca opieka duchowna z powodu licznych familii polskich. — Polacy pracują przeważnie w kopalniach Recklinghausen, Berghausen i Hillerheide.

Stały czytelnik „Pracy„

L. G.



Sprawozdanie
z obchodu jubileuszowego Towarzystwa Przemysłowego w Gnieźnie.

W prastarym grodzie Lecha, z którego imieniem tyle pięknych się wiąże narodowych wspomnień, w grodzie legendowych orląt białych, co się stały naszej narodowości symbolem, w tym samym grodzie, co kryje w sobie szczątki narodowego apostoła chrześcijańskich prawd — w grodzie Lecha zgromadził się w zeszłą sobotę pokaźny zastęp przedstawicieli i przyjaciół naszego przemysłu.

W tej samej chwili, w której rolnik po dokonanych żniwach, oblicza plony swej całorocznej znojnej pracy, przemysłowcy i znani powszechnie inteligentni pracownicy na niwie przemysłowego rozwoju urządzili niejako przegląd sił swoich i przegląd dokonanych usiłowań, zwołując zjazd związkowy pod egidą niestrudzonego prezesa związku Towarzystw przemysłowych p. mecenasa Czypickiego z Koźmina. Przebieg zjazdu był następujący:

W sobotę, dnia 5-go b. m., o godzinie 9 wieczorem zagaił na sali Domu katolickiego, przyozdobionej zielenią i kwiatami, prezes Związku Towarzystw przemysłowych p. mecenas Czypicki z Koźmina walne zebranie delegatów. Po krótkich słowach powitalnych, zaprosił na sekretarza p. Paryska z Inowrocławia, a na ławników panów Krausego z Poznania, dr. Taczaka z Kostrzyna, Rakowskiego z Kórnika, dr. Ulatowskiego z Gniezna i dr. Ulatowskiego z Inowrocławia.

Następnie witał delegatów p. Hoffmann w imieniu gnieźnieńskiego Towarzystwa przemysłowego.

Sprawdzono potem legitymacye delegatów, których przybyło około 60.

Do „Związku“ przystąpiły Towarzystwa przemysłowe w Gnieźnie, Kostrzynie, Śremie i Chełmży.

Uzupełniono zarząd „Związku“, wybierając doń p. Witkowskiego, prezesa poznańskiego Towarzystwa młodych przemysłowców.

W dalszym ciągu p. mecenas Czypicki zdawał obszernie sprawę z działalności Związku. Należy do niego 29 Towarzystw przemysłowych.

Walne zebranie delegatów zamknął o godz. 1 w nocy p. Czypicki życzeniem, aby Towarzystwo przemysłowe w Gnieźnie doczekało się 100-letniego jubileuszu.

* * *

Następnego dnia t. j. w niedzielę, dnia 6-go b. m. o godzinie 9-tej odprawił ks. proboszcz Piotrowicz uroczystą mszą św. w katedrze przy grobie św. Wojciecha. Podczas mszy św. śpiewali wszyscy przemysłowcy pieśni: „Boga Rodzica“ i „Witaj Królowo.“

O godz. 11 zagaił p. Hoffmann, prezes gnieźnieńskiego Towarzystwa przemysłowego, posiedzenie jubileuszowe.

Marszałkiem wybrano p. Gdeczyka z Pleszewa, wicemarszałkiem p. Wąsowicza z Poznania, sekretarzem p. Paryska z Inowrocławia, a ławnikami pp. dr. Taczaka z Kostrzyna, Tulewicza z Kórnika, Kaczmarka z Wrocławia, Miedzińskiego z Wolsztyna, Hoffmanna ze Srody, Sosnowskiego z Bydgoszczy, dr. Ulatowskiego, Smideckiego i Lewandowskiego z Gniezna.

Marszałek odczytał „krótki pogląd na 50-letnią czynność Towarzystwa przemysłowców i katolików w Gnieźnie od 1851 do 1901 roku.“

Założycielami Towarzystwa przemysłowego byli ś. p. S. Borowski, krawiec, Dominik Borkowski, nauczyciel szkoły świętojańskiej, Jan Wnukowski, właściciel hotelu, Bronisław Doczewski i Ludwik Ballenstaedt, mistrz murarski. Ci to mężowie, których już od lat wielu kryje zimna mogiła, w październiku 1851 r. zamienili w piękny czyn uchwałę, powziętą przez obywatelstwo Gniezna, zakładając Towarz. przemysłowe. Głównym celem Towarzystwa była pierwotnie niedzielna nauka uczniów rzemieślniczych i towarzyskie zabawy; ale z czasem cele te rozprzestrzeniono, a szczególniej starano się o podniesienie i rozszerzenie moralności, oświaty, przemysłu i wspólnej zabawy. Cel ten szlachetny osiągnęło Towarzystwo przemysłowe w każdym kierunku jak najzupełniej, i dziś po pięćdziesięciu latach chwalebnej i zbożnej pracy, spojrzeć może z zadowoleniem wstecz, gdyż plon obfity wydała praca jego dla naszego społeczeństwa.

W zastępstwie p. Wąsowicz imieniem Towarzystwa gnieźnieńskiego i Związku wręczył dyplom honorowy syndykowi p. Klepaczewskiemu, który od samego początku do Towarzystwa należy. Jubilat, rozrzewniony, dziękował w serdecznych słowach.

Wysłano także dyplomy księdzu Nożewnikowi w Witkowie i księdzu prałatowi Łukowskiemu w Tarnowie (w Galicyi).

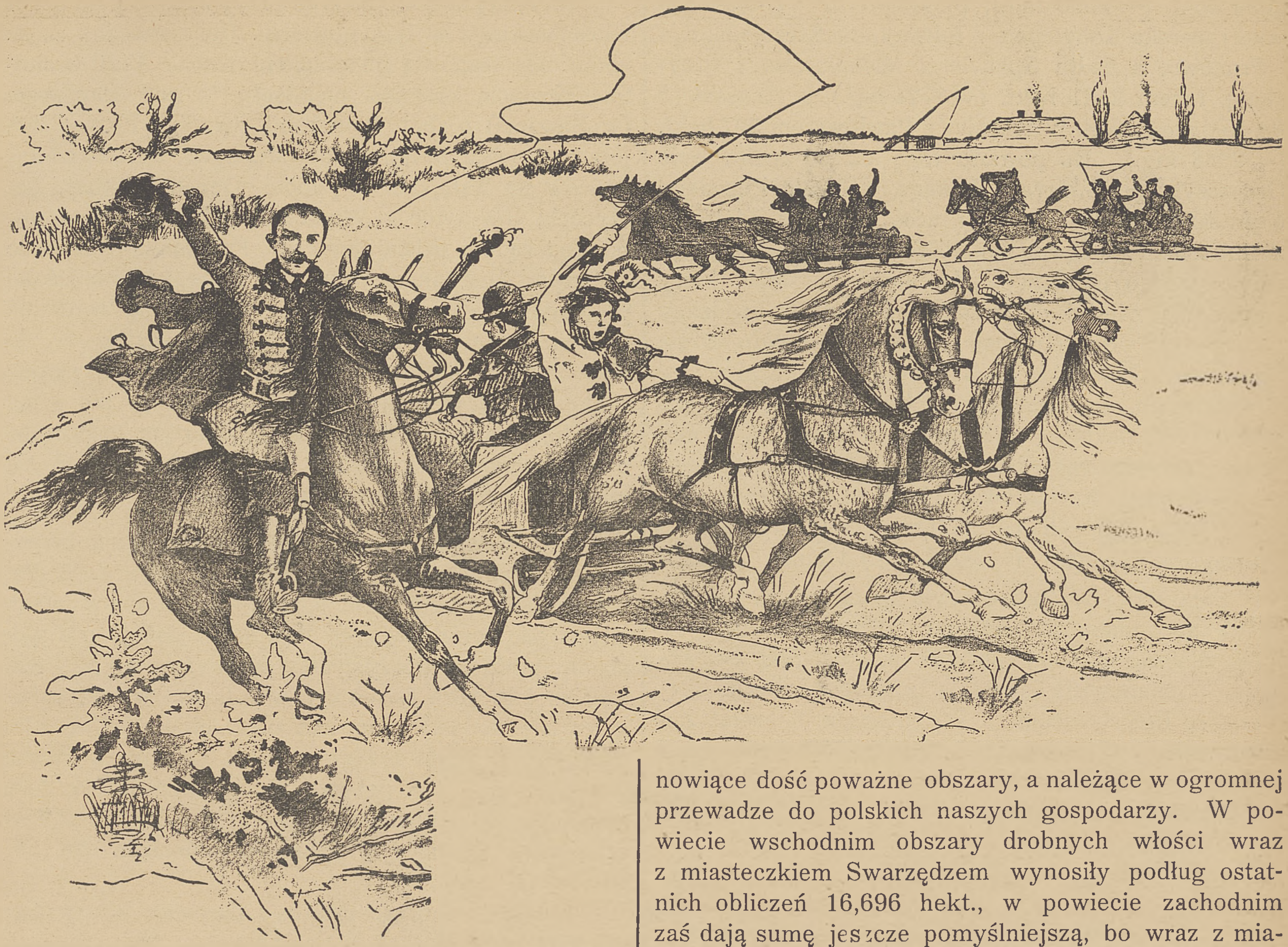
Do księdza Arcypasterza dr. Stablewskiego wysłano telegram z wyrazami uległości i przywiązania. Ksiądz Arcypasterz telegraficznie nadesłał błogosławieństwo.

Wieczorem o godz. 8-ej zebrali się uczestnicy z paniami na sali hotelu Europejskiego, gdzie odbył się koncert, śpiewy i przedstawienie amatorskie, po którem bawiono się do rana.

* * *

Wrażenia, jakie sprawia swą treścią zjazd gnieźnieński, skłaniają nas do następującej uwagi:

Wśród niesprzyjających okoliczności, pogarszanych przez bierność i obojętność wielu Towarzystw przemysłowych Zarząd Związku radził w roku zeszłym nad licznemi sposobami ulepszenia warunków i ułatwienia rozwoju naszego przemysłu, i usiłował szczególnie dodatni wpływ wywierać na organizacyą i kierunek pracy w poszczególnych Towarzystwach, należących do Związku. Kto nie przypatrzył się zblizka trudom i zachodom, podejmowanym przez Zarząd Związku Tow. przemysłowych w interesie przemysłowego, a więc i ekonomicznego rozwoju naszego społeczeństwa, ten może nie zdaje też sobie sprawy z tego, jakie poparcie ze strony wszystkich Towarzystw Związkowi się należy. Dlatego chociaż w kilku słowach do powyższego referatu nawięzujemy szczerą i gorącą zachętę, ażeby wszystkie Towarzystwa pracujące pod hasłem przemysłowego postępu przyłączały ogniwa swoje do tego dobrego, ochronnego łańcucha, którym ludzie dobrej woli, niezłomnej energii i rozumnej myśli otoczyć pragną interesy naszego rzemiosła i naszej industryi w ciężkich zaiste czasach. *„Praca.“*



Malowniczy opis Wielkopolski.

Powiaty poznańskie: wschodni i zachodni.

Zebrał i wydał
Marcin Biedermann.

Do tych części Wielkopolski, w których napływowy żywioł niemiecki z biegiem czasu największe poczynił zdobycze, należą okolice starego Przemysławów grodu, tj. obydwa powiaty poznańskie. Bardzo smutny przedstawiają widok odnośne cyfry statystyczne obszarów *większych* własności, wykazujące podług ostatniej statystyki, że z 682,273 hektarów (czyli 273,092 mórg), latyfundyalnych 42,572 hekt. (= 170,288 mg.) jest w rękach niemieckich, a w polskich tylko 25,770 hekt. (=103,080 mg.) Szczególnie niepomyślnie zaznacza się stosunek liczebny *większych* własności w dotychczasowym powiecie wschodnio-poznańskim, gdzie na 28,977 hektarów 20,792 należy do Niemców, a 8,185 tylko do Polaków.

Mylnem byłoby wszakże, na cyfrach powyższych wyłącznie polegając, zbyt czarne wysumować wnioski o sile narodowości polskiej w obu poznańskich powiatach. Poza własnością większą bowiem w okolicach Poznania widzimy liczne włości mniejsze, stanowiące dość poważne obszary, a należące w ogromnej przewadze do polskich naszych gospodarzy. W powiecie wschodnim obszary drobnych włości wraz z miasteczkiem Swarzędzem wynosiły podług ostatnich obliczeń 16,696 hekt., w powiecie zachodnim zaś dają sumę jeszcze pomyślniejszą, bo wraz z miasteczkiem Stęszewem 24,322 hekt.

Niemniej pocieszającem jest to, że w obu powiatach żywioł polski stanowczo przeważa, co się szczególnie dowodnie zaznacza przy wyborach do parlamentu.

W powiecie wschodnio-poznańskim zaszły z dniem 1 kwietnia ważne zmiany przez wcielenie Jerzyc, Wildy i Św. Łazarza do miasta Poznania, a przyłączenie za to pewnej części sąsiedniego powiatu średzkiego.

W dawniejszych granicach powiatu wschodniego — jak już wspomnieliśmy — nie wielka część obszarów większych własności utrzymała się w rękach polskich panów; natomiast pozostałe jeszcze obszary polskie są w ogólności pięknemi majętnościami, a posiedziciele ich są przeważnie zamożnymi obywatelami.

Oprócz mniejszych wsi, jak Antonin p. *Fr. Krajewskiego,* Garby p. *Fl. Andrzejewskiej,* Koziegłowy p. *M. Kaczmarkiewicza,* obejmujących po kilkaset mórg, mieszczą się w powiecie wschodnio-poznańskim znaczne kompleksy, jak: p. dra *Tadeusza Szułdrzyńskiego* wieś rycerska Bolechowo z folwarkiem Szlachęcin i Treskowo razem 1568 hekt. (= 6272 mg.); p. *Włodzimirza hr. Dzieduszyckiego* z Lwowa wieś rycerska Głuszyna z folwarkiem Babkami, razem

2099 hekt. (= 8396 mg.); p. *Józefa hr. Mycielskiego* wieś rycerska Kobylepole z folwarkami Szczepankowo i Franowo, a nadto Spławie z Michałowem i Przysługą, razem 2181 hekt. (= 8724 mg.); p. *Krzysztofa hr. Cieszkowskiego* Wierzenica z Pawłowkiem 997 hekt. (= 3988 mg.). Do powiatu tego należą nadto wsie Gruszczyn p. *Gabryeli Kończy* z Król. Polskiego o przeszło 1200 morgach i wieś rycerska Piotrowo z Kubalinem p. Unruga o 2556 morgach. Na przydzielonym do powiatu wschodniego obszarze, który poprzednio należał do średzkiego powiatu, widzimy Usarzewo z Święcinkiem p. *Józefa Żychlińskiego*, obejmujące 790 hekt. (= 3160 mg.), Pomarzanowice i Wrączyn p. *dra Tadeusza Jackowskiego*, obejmujące razem 1180 hekt. (= 4720 mg.), Złotniki p. *Bronisława Szlubowskiego* z Kongresówki o 334 hekt. (= 1336 mg.), Kociałkową Górkę p. *Seweryna Radońskiego* o 725 hekt. (= 2900 mg.), Bednary p. *J. Sicińskiego* o 519 hekt. (= 2076 mg.) i inne.

Pomyślniej się przedstawia stan rzeczy w powiecie zachodnim poznańskim, gdzie przedewszystkiem znaczne obszary posiada p. *Bolesław hr. Potocki*, a mianowicie świetnie zagospodarowane Będlewo z Bolesławicami i Wronczyn z Sokrem, Zamysłowem i Zaparcinem, razem 2730 hekt. czyli 10920 mg., dalej *Tadeusz hr. Dzieduszycki* z Lwowa Głuchowo, Konarzewo, Babki, Dopiewiec i Dopiewo razem 2847 hekt. (= 11388 mg.); *hr. Zamojska* z Paryża Trzebaw z Górkami i Kierzkami, razem 2101 hekt. (= 8404 mg.); p. *Pluciński* Swadzim i Sady 1254 hekt. (= 5016 mg.); p. *Jan hr. Szołdrski* Rostworowo i Żydowo, razem 1340 hekt. (= 5360 mg.); p. *Maksymilian hr. Bniński* 1414 hekt (=5656 mg.); p. *Stanisław Breza* Więckowice z Działami, Drwęcą i Więckowskiem 1025 hekt. (=4100 mg.); p. *hr. Kwilecki* z Dobrojewa Jankowice o 866 hekt. (=3464 mg.); p. *Obrębowicz* Skorzewo o 530 hekt. (=2120 mg.); p. *hr. Cieszkowski* Żabikowo o 500 hekt. (=2000 mg.); p. *Seweryna Dziembowska* (z Roszkowa) Sobotę o 361 hekt. (=1444 mg.); p. I. *Freudenreich* Plewiska o 437 hekt. (=1748 mg.), a nadto pp. *Rosiński, Radowicz* i *Nehring* mniejsze włości niżej 1000 mg. Dwa majątki niestety w powiecie zachodnim ubywają nam a mianowicie Wielkie p. Paula o przeszło 1100 morgach, uchodzące już powszechnie za zdobycz komisyi kolonizacyjnej i Golęczewo, obejmujące przeszło 2100 mg., które dotąd znajdowało się w ręku p. Błociszewskiego.

Pomijając te dwie bolesne straty, można na całość obszaru wymienionych powyżej polskich majątków patrzeć z pewną otuchą. Z zamożnością bowiem posiedzicieli łączy się uznania godne zrozumienie krytycznego stanu naszego społeczeństwa i chlubne poczucie obywatelskie. Wzbudza to nadzieję, iż przynajmniej te, tak strasznie uszczuplone obszary będą zachowane polskości jako cząstka fundamentalna jej ekonomicznego bytu.

Niemniej nadziei naszych przywięzujemy do stanu włościańskiego w tym powiecie. Dość znaczną część stanu tego stanowią sprowadzeni około r. 1720 w okolice Poznania koloniści niemieccy z pod Bamberga (w Bawaryi) i ztąd Bambrami zwani. Poznać ich jeszcze można po strojach odrębnych wśród mieszkańców na Ratajach, w Łuboni, Dębcu, Wildzie, Jerzycach, Górczynie i Winiarach. Z nielicznemi wyjątkami są oni dzisiaj dobrymi Polakami. Wspólnie z naszymi włościanami tworzą oni zastępy, coraz jaśniej pojmujące antypolską walkę, silne wolą, wytrwałe czynem i pracą. Daj Boże, ażeby nadzieje te, do większych i mniejszych posiedzicieli przywięzywane, zamieniły się w silną wiarę, że ich włości nie tylko stać będą zawsze wałem nieprzepartym naprzeciw obcoplemiennemu zalewowi, ale rozprzestrzeniać się także na teren utraconych placówek.

* * *

Powierzchnia ziemi powiatów poznańskich przedstawia płaskowzgórze, w które wrzyna się dość głęboka dolina Warty. Od jej łożyska po obu stronach wznosi się teren, tworząc krawędzie doliny pod postacią pasm wzgórzystych. Najwyższym punktem wzgórz jest góra św. Anny, w pobliżu Owińsk, wznosząca się do 985 stóp nad pow. morza. Cały klin pomiędzy prawym brzegiem rzeki Główny a Wartą jest wyniosły, a w pobliżu Kicina wznosi się dość pokaźna góra, Drybanem zwana, do wysokości 142,7 m. Ztamtąd ku północy i południowi pochyla się powierzchnia.

Południowa część prawego porzecza Warty między Cybiną a Maskawą rozściela się jako równina falista, ku wschodowi pochylona. Najznaczniejsze wzgórza na lewem porzeczu są: Święconka pod Lisówkiem, Góra Pożegowska (Ludwigsberg), a nadto pagórki pod Komornikami, Chybami, Kiekrzem, Złotnikami, Suchym lasem, Morawskiem, Naramowicami, Winiarami, Junikowem i Dębcem.

Warta, rozdzielająca nasamprzód obadwa powiaty i wrzynająca się w pobliżu Dębca w powiat wschodni, płynie wężykowato od południa ku północy przez miasto Poznań, odgranicza swym prawym brzegiem powiat obornicki i w pobliżu Gośliny opuszcza terytoryum powiatu wschodniego. Gleba w obu powiatach średnio-urodzajna. Obszary rozdzielają się pod względem użytkowania na mniejwięcej 70% roli uprawnej, przeszło 13% lasów, przeszło 5% łąk, 4% pastwisk i 1% ogrodów; największe obszary łąk rozpościerają się po obu brzegach Warty i jej dopływów. Lasy, przeważnie sosnowe, snują się pasmami pod Swarzędzem, Wierzenicą, Owińskami, Chojnicą, Pokrzywnicą, Stęszewem, Jarosławiem i Wirami; rzadko widnieje tu i owdzie brzeziną, dębina i olszyna.

We wnętrzach ziemi znachodzi się węgiel brunatny pod Główną, Kobylempolem, Żegrzem, Starołęką i Żabikowem, a znaczniejsze torfowisko pod Nowym Młynem.



Wykonano w drukarni „Pracy“.

Powiat Poznański wschodni i zachodni.

(Bezpłatny dodatek do „Pracy“ wychodzącej w Poznaniu.)

Powiat poznański wschodni.

Powiat poznański wschodni graniczy po stronie północnej z powiatem obornickim, na wschodzie z gnieźnieńskim, na południe z średzkim i śremskim, na zachodzie z zachodnio-poznańskim. Warta, która częścią dotyka powiatu prawym swym brzegiem, częścią też od Dębca aż prawie do Czerwonej Niwy go przerzyna, zasila się dopływami rzek Główny i Bogdanki. Pierwsza z nich jest wypływem jezior pomiędzy Łopiennem a Pobiedziskami, druga wypływem jeziora kiekrzyckiego. Z większych jezior posiada powiat wschodni tylko Swarzędzkie.

W skład powiatu wchodzą miasta Swarzędz i Pobiedziska.

Drogi komunikacyjne są w pomyślnym stanie; liczne szosy z miasta Poznania, jako środka, promieniami przerzynają powiat we wszystkich kierunkach.

A. Szosy prowincyonalne wiodą:

1) z Poznania przez Suchylas do Obornikn a 19 km. długości w powiecie samym.

2) z Poznania przez Główno do Rogoźna na przestrzeni 15 km. w powiecie.

B. Dawniejsza szosa państwowa z Poznania przez Swarzędz do Wrześni na 12 km. długości w powiecie.

C. Szosy powiatowe:

1) z Poznania do Kórnika.
2) „ do Pobiedzisk.
3) z Mur. Gośliny do Szamotuł.
4) z Poznania do Srody.
5) „ do Kiszkowa.
6) z Swarzędza do Mur. Gośliny.
7) „ do Kórnika.
8) „ do Pobiedzisk.
9) „ do Srody.
10) z Poznania do Rataj i Starołęki.

Nadto przecinają powiat koleje:

1) marchijsko-poznańska; 2) poznańsko-toruńsko-bydgoska z stacyami Poznań (z dwoma dworcami) Główno i Kobylnica. 3) poznańsko-belgardzka z stacyami Poznań i Złotniki; 4) poznańsko-kluczborska z stacyami Poznań i Starołęka; 5) poznańsko-wrzesińska z stacyami Swarzędz, Główno i Poznań (z dwoma dworcami).

Poczet parafii i duchowieństwa powiatu wschodnio-poznańskiego.

Liczba dusz	Nazwa parafii	Nazwisko duchownego	Kapliczki i klasztory	Poczta i telegraf
450	**Chludowo.**	Połączona z parafią w Owińskach.		
3955	**Głuszyna** należy do Fary w Poznaniu	X. *Władysław Sobecki.*		Daszewice.
1088	**Kicin**	X. *Wincenty Studniarski*, proboszcz, asesor dekanalny.		Główno.
1703	**Owińska**	X. *Tomasz Kłoniecki*, proboszcz, dziekan rogoziński.	Kaplica św. Mikołaja.	W miejscu.
3005	**Pobiedziska**	X. *Wulenty Rudal*, proboszcz, asesor dek., dziekan emer., cenzor ksiąg. X. *Józef Niemir*, wikaryusz.		W miejscu (Pudewitz).
1173	**Spławie**	X. *Michał Wituski*, proboszcz.		Gądki (Gondek).
3218	**Swarzędz**	X. *Jan Dambek*, proboszcz, radzca duchowny, dziekan Kostrzyński.		
983	**Usarzewo**	X. *Marcin Mazurkiewicz*, komendarz.		Kobylnica.
1109	**Wierzenica**	Połączona z parafią w Kicinie.		
1538	**Wronczyn**	X. *Kazimierz Smorawski*, komendarz.		W miejscu.

Wykaz majątków polskich w pow. Poznańskim wschod.

w roku 1901.

1. Nazwisko majątku ziemskiego.	2. Obszar w hektarach: Ziemi ornej	Łąk	Lasu	Wody	Suma	3. Czysty dochód grunt. (Grundsteuerreinertrag) Mk.	4. Nazwisko właściciela.	5. Odległość od poczty (P.) telegrafu (T.) dworca (D.)	6. Zakłady przemysłowe.
Antonin, folwark samodzielny					130,84	403	**Fr. Krajewski.**	4 Poznań P. F. D	
Bolechowo, wieś rycerska z folwarkiem Szlachęcin i Treskowo	1041,22	44,00	473,00	9,178	1568	9850	**Dr. Tadeusz Szułdrzyński**	3,3 Owińska P. T 14 Główna D.	Gorzelnia i cegielnia.
Bednary, wieś rycerska	494,98	24,02			519,00	4549	**Mateusz Siciński.**	3, Wronczyn P. 7,5 Pobiedziska T. D.	
Garby, folwark samodzielny	126,75	27,27	4,59	—	158,61	1445	**Florentyna Andrzejewska.**	— Tulce P. T. 4,2 Swarzędz D.	
Głębokie, wieś rycerska z folwarkiem Berkowo	570,88	50,00	28,00	13,12	662,00	7179	**Wojciech Chełmicki** z Zakrzewa.	2 Sławno P. T. 9,5 Pobiedziska D.	Gorzelnia, młyn parowy i cegielnia.
Głuszyna, wieś rycerska *Uwaga**)							Właścicielka: **Jadwiga ks. Czartoryska** z d. hr. Dzieduszycka z Pełkiń w Galicyi.		
a) folwark Głuszyna	380,30	36,25			416,55		Gener. pełnomocnik i nadleśniczy: *Antoni Kauss* w Babkach.	2 Daszewice P. T. 3 Starołęka D.	Gorzelnia
b) „ Babki	217,25	2,12			219,37	4273		2 Daszewice P. T. 4 Starołęka D.	
c) rewir Głuszyński	3,75	1,50	494,61	1,20	501,06		Dzierżawca Klucza Głuszyńskiego wraz z folwarkami i Babkami: *Józef Rubach.*	2 Daszewice P. T. 4 Starołęka D.	
Babki młyn, folwark	66,58	2,50		0,28	69,36	300		2 Daszewice P. T. 3 Starołęka D.	
Gruszczyn, wieś szlachecka	264,49	26,63	13,84	—	304,96	2754	**Gabryela Kończa** w Polsce. Dzierżawca: *Wadyński.*	2,2 Swarzędz P.	
Kociałkowagórka, wieś rycerska	500	75	173	2	759	6800	**Seweryn Radoński.**	4,5 Kostrzyn P. T. D.	

Uwaga)*: Głuszyna z folwarkami w *powiecie Poznańskim wschodnim* oraz Konarzewskie dobra z licznemi folwarkami, dalej majętność Głuchowska z rozległemi posiadłościami i dobra rycerskie Wiry z folwarkami w *powiecie poznańskim zachodnim* i w końcu obszerne lasy Kamionecko-Daszewickie z wsią rycerską Szczytniki *w powiecie Sremskim* — razem blizko 24,000 mórg, z czystym dochodem gruntowym przeszło 42,000 mk. — tworzą *Skarb Konarzewski*, który jest własnością Jadwigi księżnej Czartoryskiej, żony księcia Witołda Czartoryskiego z Pełkiń w Galicyi.

Skarb Konarzewski, o którym obszerniej rozpiszemy się przy opisie powiatu zachodniego, jest jednym z najlepiej zagospodarzonych majątków Księztwa i niejednej renomowanej majętności niemieckiej za wzór posłużyć może.

Generalnym zarzadzcą tej znacznej fortuny Czartoryskich jest: Pełnomocnik generalny i nadleśniczy Antoni Kauss (rodak) w Babkach, w powiecie poznańskim wschodnim.

Leśniczy: Andrzej Adamczewski w Konarzewie, w powiecie zachodnim.

Rendant: Maksymilian Karczewski w Babkach.

Borowych w poszczególnych rewirach jest 8-miu.

Całe dobra konarzewskie są wydzierżawione pomiędzy 5-ciu dzierżawców polskich i to: pp. Glabisz W., Szyfter P., Jordan F., Karpiński M i Rubach J.

1. Nazwisko majątku ziemskiego.	2. Obszar w hektarach					3. Czysty dochód grunt. (Grundsteuerreinertrag) Mk.	4. Nazwisko właściciela.	5. Odległość od poczty (P.) telegrafu (T.) dworca (D.)	6. Zakłady przemysłowe.
	Ziemi ornej	Łąk	Lasu	Wody	Suma				
Kobylepole, wieś rycerska z folwarkami Szczepankowo i Franowo.	857,00	80,00	327,00	—	1264,00	12368	Dzierżawca: *Bąkowski* **Józef hr. Mycielski.**	Kobylepole P. 4,5 Poznań T. D.	Browar. Cegielnia.
Spławie, wieś rycerska z Michałowem i Przysługą	698,37	132,74	86,78	—	917,89	10547	Dzierżawca: *Drogowski.*	4,6 Gądki P. T. D	Gorzelnia.
Krzyżowniki, folwark							**Michał Pielucha.**	Krzyżowniki P T. Poznań D.	
Koziegłowy, folwark samodzielny	100,00	5,00	—	5,00	110,00	739	Wdowa **Kaczmarkiewicz** z Mszczyczy na p. Dolsk.	4,7 Główna P. T. D.	
Malta (ustronie)							**Płachecka.**	Poznań P. T. D	
Podarzewo, wieś szlachecka	171,67	5,45			177,12	2154	**Jerzy Kullak.**	6, Pobiedziska P. T. D.	
Piotrowo, wieś rycerska z folwarkiem Kubalin	540,99	45,47	41,46	10,69	639,11	5332	**Unrug.**	2 Daszewice P. 4,5 Gądki T. D.	
Pobiedziska, folwark	190,78				190,78	2008	**Majętność kościelna.**	Pobiedziska P. T. D.	
Usarzewo, wieś rycerska z folwarkiem Swiencinek	680,59	81,00	9,00	19,41	790,00	7500	**Żychlińska.**	2,5 Kobelnica P. T. D.	Gorzelnia.
Wierzenica, wieś rycerska z Pawłowkiem i Mechowem	750,00	50,00	500,00	10,02	1310,00	6335	**August hr. Cieszkowski.**	1,9 Kobylnica P. T. D. 10,0 Poznań PTD.	Gorzelnia i wodny młyn.
Wronczyn, wieś rycerska	412,50	97,50	48,75	53,75	612,50	4697	**Dr. T. Jackowski.**	5 Pobiedziska P. T. D.	Gorzelnia i młyn parowy
Pomarzanowice, wieś rycerska z folwarkiem Pomarzanki i gospodarstwami dokupionemi.	465,00	38,00	105,00	—	608,00	6264	**Dr. T. Jackowski.**	2,5 Pobiedziska P. T. D.	Parowa mleczarnia.
Złotniki, wieś rycerska	341,25	37,50	3,75	17,50	400,00	3209	**Bronisław Szlubowski.**	3 Pobiedziska P. T. D.	

Wykaz majątków w powiecie wschodnim poznańskim, znajdujących się w rękach niemieckich.

A.	Babki p. Daszewice . . .	69,36 ha
	Biskupice p. Biskupice .	100,00 „
	Czachurki p. Weissenburg	187,00 „
	Chartowo p. Poznań . .	266,00 „
	Chludowo p. Chludowo .	969,00 „
	Gruszczyn (wolne sołectwo) p. Swarzędz	146,30 „
	Gortatowo p. Swawędz . .	218,80 „
	Do przeniesienia	1,956,46 ha

Z przeniesienia	1,956,46 ha
Gołęcin p. Poznań . . .	782,90 „
Gołuń p. Pobiedziska . .	464,00 „
Jankowo p. Biskupice . .	105,19 „
Kicin p. Kicin	765,96 „
Kobylepole p. Kobylepole	93,23 „
Kolatka p. Biskupice . .	421,56 „
Kowalskie p. Kobelnica .	416,00 „
Do przeniesienia	5,005,30 ha

Z przeniesienia	5005,30 ha	
Krześlice p. Wronczyn . .	589,00 „	
Kruszewnia p. Swarzędz .	221,00 „	
Łagiewniki p. Złotniki .	597,00 „	
Łącz młyn p. Poznań . .	123,55 „	
Łowęcin p. Swarzędz . .	253,00 „	
Minikowo p. Starołęka .	128,45 „	
Morasko p. Winiary . .	1077,00 „	
Chojnica p. Złotniki .	1048,59 „	
Glinno p. „ . .	637,00 „	
Knyszyn p. „ . .	827,00 „	
Naramowice p. Poznań . .	392,63 „	
Neudorf p. Swarzędz . .	215,75 „	
Neumühle p. Poznań . .	78,66 „	
Neuhof p. Kobylnica . .	103,00 „	
Owińska p. Owińska . .	2590,00 „	
Annahof		
Heinrichsfelde		
Mienkowko		
Annaberg		
Piątkowo p. Poznań . . .	422,20 „	
Pokrzywno p. Starołęka .	139,00 „	
Puszczykowo p. Kostrzyn	205,32 „	
Rabowice p. Swarzędz . .	109,02 „	
Radojewo p. Winiary . .	501,00 „	
Rybitwy p. Pobiedziska .	148,00 „	
Lissmühle		
Neudorf p. Poznań . .	267,07 „	
Sarbinowo p. Swarzędz .	174,87 „	
Schönherrnhausen p. Winiary	275,09 „	
Suchylas		
Stenszewko p. Pobiedziska	264,16 „	
Swarzędz p. Swarzędz . .	250,00 „	
Do przeniesienia	16642,66 ha	

Z przeniesienia	16642,66 ha	
Sedan p. Złotniki . . .	1005,78 „	
Seewörth		
Skorzencin p. Kobylnica .	65,87 „	
Sołacz p. Poznań . . .	377,10 „	
Umultowo p. Poznań . .	373,00 „	
Wierzonka p. Kobylnica .	2310,00 „	
Karlowitz		
Ludwigshöhe		
Milo		
Zalasewo p. Swarzędz . .	204,26 „	20,978,67 ha
B. *Fiskus:*		
Streitort p. Poznań . . .	529,00 „	
Trzuskotowo p. Chludowo oraz Biedrusko i Czerwonaniwa razem	1991,00 „	
Polska wieś (Forbach) p. Pobiedziska*)	423,00 „	
Węglewo p. Pobiedziska .	350,00 „	3293,00 „
C. *Kolonizacya:*		
Gwiazdowo p. Kostrzyn .	399,00 „	
Kruszewnia p. Swarzędz .	221,00 „	
Krzesiny p. Gądki . . .	369,00 „	989,00 „
		25,260,67 ha

Zestawienie:

W rękach niemieckich .	25,260,67 ha	
W rękach polskich . .	12 763,08 „	
Większość niemiecka . . .	12,497,59 ha	czyli **50,000 mg.**

*) Węglewo i Polska wieś (dziś „Forbach") wraz ze Zbierkowem tworzyły starostwo pobiedziskie. Ostatnim starostą był Niegolewski, ojciec sławnego pułkownika z czasów napoleońskich.



Widok na jezioro Swarzędzkie.

Krótki zarys historyczny wsi i miasta Swarzędza.

Opisy historyczne miast naszych bądź to w Księstwie, bądź też gdziekolwiek indziej są zawsze z trudnościami połączone, dla braku odpowiednich dokumentów nie dają się tu narysować obrazy jednolite i całkowite i często trzeba się tylko domysłami i urywkami kontentować. Tak też się rzecz ma i z wsią i z mieściną Swarzędzem. — Kiedy wieś Swarzędz, a ta jest najstarszą częścią miasteczka założoną została, tego nikt dociec nie jest w stanie, tak samo niewiadomo, zkąd się nazwa „Swarzędz" wzięła. Mówią, że to pochodzi od „swarów" i od wyrazu „swarzyć się", czy prawda, jednak nie wiadomo, gdyż nie wiemy nic o początkach i o założeniu wsi, nie wiemy nic o swarach, któreby dały powód do nazwy Swarzędz. Najstarszy dokument wsi datuje z roku 1366; z tego dokumentu wynika, że ówczesnym dziedzicem wsi Swarzędza był niejaki Tomisław, który wówczas Nowy Młyn nad Cybiną, niedaleko Kobylegopola położony, kapitule poznańskiej sprzedał.

Że w roku 1377 już i kościół katolicki był we wsi Swarzędzu, wynika ze zeznania urzędowego niejakiego Wincentego ze Swarzędza, że Dzierzko, ówczesny dziedzic Łowęcina, ma pewne prawo kolatorstwa do tegoż kościoła.

W roku 1397 należały dobra Swarzędzkie do niejakiego Mikołaja ze Srebrnej Góry, który w tym samym roku przekazał altarzyście poznańskiemu Promerowi roczny



Już po wykończeniu mapy powiatów poznańskich, którą w dzisiejszym numerze dołączamy, — nastąpił nowy podział powiatowy i to: miasto Poznań wraz z przedmieściami tworzy obecnie powiat dla siebie, powiat zachodni pozostał nadal ten sam, a do powiatu wschodniego, z którego wyłączono Poznań — dorzucono część powiatu Średzkiego z miastem Pobiedziskami; odnośnie do tego też podziału podaliśmy **teraźniejszy** powiat poznański wschodni, włączając do niego wszystkie te posiadłości, które dotąd należały do powiatu Średzkiego.

By czytelnikom uwidocznić tę część powiatu Średzkiego, którą przyłączono obecnie do powiatu poznańskiego wschodniego, podajemy jeszcze powyższą mapkę.

czynsz ze wsi S w a r z ę d z a i innych włości. Jak długo dobra S w a r z ę d z k i e w ręku Mikołaja pozostały, niepodobno dociec, ani też dowiedzieć się nie można, kto po nim je odziedziczył; wiemy tylko, że w roku 1580 dziedzicem Swarzędza był Jędrzej Górka, ówczesny kasztelan międzyrzecki, po tegoż śmierci przeszło dziedzictwo w roku 1592 na Piotra Czarnkowskiego. Po Czarnkowskim przeszły te dobra w ręce Zygmunta Grudzińskiego herbu Grzymała. Odtąd już wiadomości historyczne wsi nabierają więcej pewności, prawdopodobnie dlatego, że Grudziński dał pohop do założenia miasta Swarzędza, w mieście zaś prowadzono księgi na ratuszu i zapisywano każdy ważniejszy wypadek, jako też i dokumenta najrozmaitszego rodzaju dawają materyały do historyi już pewniejszej.

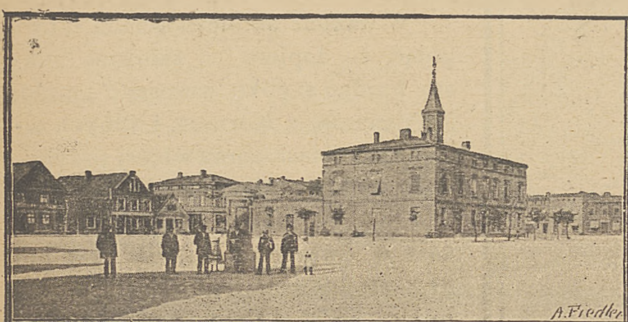
W owych czasach istniały znaczne kłótnie w Poznaniu pomiędzy magistratem a żydami tamtejszymi. Żydzi zbogaciwszy się i rozmnożywszy się chcieli w Poznaniu domy sobie budować, mieli zaś pozwolenie budowania domów tylko w pewnej określonej ilości, ale ilość ta nie wystarczała, a magistrat na budowę więcej domów nie chciał zezwolić, ztąd ustawiczne niezadowolenie żydow i kłótnie z magistratem. Tymże niezadowolonym z poznańskich rządów żydom zezwolił Grudziński na osiedlenie się w bliskości wsi Swarzędza, zezwolił im na budowanie się i na postawienie sobie synagogi, cmentarza i budynków potrzebnych, sam im nawet wybudował 36 domów. Ponieważ pomiędzy żydami sprowadzającymi się z Poznania prawdopodobnie wielu było i biednych, dlatego to pewnie powstało przysłowie stare — przyjechała nędza do Swarzędza. Dalej pozwolił Grudziński żydom na prowadzenie wszelkiego rękodzielnictwa i rzemiosła, bez jakiejkolwiek osobnej opłaty, wziął ich pod swoją specyalną opiekę i wyniósł w ten sposób nowo wybudowaną część Swarzędza do rzędu miast, nazywając ją Grzymałowem od herbu swego Grzymała, na co wyrobił sobie pozwolenie od ówczesnego króla polskiego Zygmunta III, ten zaś nadał Grzymałowu prawo magdeburskie i pozwolenie na targi i jarmarki. Takie były początki miasta Swarzędza, nazwa Grzymałowo nie utrzymała się pomiędzy ludem, ponieważ wieś Swarzędz była o całe wieki starszą, a ludzie przywykli do nazwy wsi, dlatego też i nazwę wsi przeniesiono na miasto, które tak samo jak i wieś nazywano Swarzędzem, chociaż w późniejszych aktach i dokumentach znajdujemy jeszcze nazwę Grzymałowo.

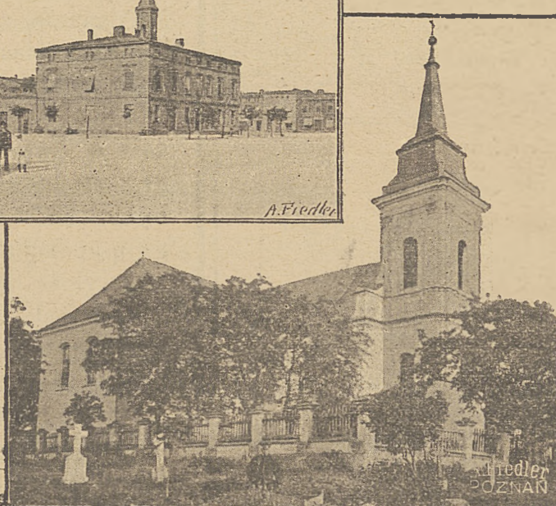
W takich okolicznościach łatwo pojąć, że dopiero co założone miasto bardzo szybko wzrosnąć mogło. Z Poznania, z Kórnika i innych sąsiednich miast coraz więcej przybywało żydów, nie doznających prawie nigdzie takich swobód jak właśnie w Swarzędzu; nadto pomnożyła się ludność tego miasta gminą ewangelików wyznania augsburskiego niepokojonych w Poznaniu, a gdy tymże ewangelikom w Poznaniu wśród zamieszek religijnych zburzono kościół, przenieśli się oni prawie wszyscy do Swarzędza. Było to po roku 1616.

Grudziński był kalwinem, a mając w swoim zamku kaplicę, zezwolił im na odprawianie nabożeństwa w swej własnej kaplicy i sprowadził im nawet pastora ich wiary z Niemiec, wyznaczywszy im miejsce w Grzymałowie na wybudowanie dla siebie kościoła i założenie dla siebie cmentarza. W krótkim też czasie wybudowano w Grzymałowie kościół ewangelicki, który już wówczas zajmował miejsce dzisiajszego kościoła ewangelickiego, a który zarazem należy do pierwszych kościołów ewangelickich w W. Ks. Poznańskiem.

W temże mieście Grzymałowie wyrokował magistrat we wszystkich procesach w sprawach świeckich i kryminalnych, w pierwszej instancyi, Grudziński zaś dla siebie i dla swoich następców wyrobił prawo drugiej instancyi i ułaskawienia. — Rozwój szybki jednak miasteczka zaczął się Poznańczykom nie podobać, bądź to dlatego, że Poznań tracił w żydach niekiedy i bogatych obywateli, bądź też może, że handlarze i kupcy Grzymałowa konkurencyą robili kupcom poznańskim; po największej części jednak zdaje się, że była to nie-

chęć do żydów, którzy wszędzie prawie byli uciskani, a w Grzymałowie przyjmowano ich z otwartemi ramionami — bądź co bądź, Poznańczykom szybki wzrost Grzymałowa się nie podobał, i w roku 1627 wytoczyli proces Grudzińskiemu o to, że nieważnie zrobił Grzymołowo miastem i żądali odszkodowania 50,000 talarów. Chociaż Poznańczycy sprawy tej tak przed królem, jak i na sejmach dobrze dopilnowali, to jednak Grudziński umiał się przy prawie swojem utrzymać, tak że przywilej fundacyi miasta nie tylko nie został cofnięty, ale nadto wyrokiem sądu zatwierdzony. Po Grudzińskim przeszły dobra Swarzędzkie niezawodnie w ręce Adama Antoniego Opaleńskiego około roku 1650, który probostwu swarzędzkiemu dał 60 zagonów ziemi i zapewnił temuż probostwu 10 wierteli żyta i tyleż owsa jako meszne.





Ratusz i kościół katolicki w Swarzędzu.

Po śmierci Opaleńskiego przeszły dobra Swarzędzkie w ręce znacznej i bogatej wówczas w Polsce familii Koźmińskich. Pobożny ród ten wiele czynił podówczas dla kościoła tutejszego; tak legował w roku 1717 Adam Koźmiński 2000 złp. kościołowi swarzędzkiemu na msze św., przez co zarazem dał początek do fundacyi Altaryi Matki Boskiej Różańcowej. Syn tegoż pana Maciej Koźmiński, przejęty na wskroś pobożnością rodziców swoich, potwierdził roku 1722 wolę i życzenie ich, pomnożywszy sumę przez nich legowaną o 1000 złp. pragnąc, by Bractwo Różańcowe przy kościele swarz. zaprowadzone zostało z osobnym dla tegoż bractwa księdzem promotorem. To życzenie tak dziadka jak i ojca swego uskutecznił roku 1752 Teodor Koźmiński, dodając do poprzednich legatów 2000 złp. i przeznaczając zarazem z dóbr swarz. na utrzymanie księdza promotora rocznie 40 wierteli żyta, 20 wiert. jeczmienia, 8 w. grochu, 20 sądków po 36 garnców piwa i 18 złp. dla organisty, wybudowawszy dla księdza promotora osobny dom mieszkalny. Altarya ta została już w roku 1796 za ks. Arcybiskupa Gorzeńskiego do probostwa wcielona, lubo już przedtem wiele lat proboszcz w domu altarzysty mieszkał, ponieważ plebania tak była zrujnowana, że w niej mieszkać nie było można. Nowa plebania stanęła za staraniem obecnego ks. Dambka w roku 1870, starą zaś kupił emerytowany proboszcz z Kołdrąbia ks. Ryszkiewicz pod warunkiem, że ją rozbierze, jednak pozwolono mu w niej mieszkać aż do śmierci; dlatego r. 1881 dom ten został przez jego sukcesorów sprzedany i rozebrany.

Wymiar z dóbr swarz., o którym była mowa, pobierali altarzyści a później proboszczowie swarz. aż do roku 1832, w którym to roku nastąpiła separacya dóbr swarz., dlatego też wszelkie daniny z tych dóbr tak dla ks. promotora jak i dla ks. proboszcza rozłożono na folwark swarz. i inne posiadłości, które od dominium swarzędzkiego nabyte zostały. — Piwo zaś powyżej wzmiankowane dla ks. promotora odkupiono przez nadanie probostwu ziemi. Po Koźmińskich nabył dobra swarzędzkie Jan Klug, bankier pozn., protestant. Niedługo jednak był dziedzicem tych dóbr, bo tylko 3 lata a było to około roku 1792. Ale i w tym czasie krótkim wiele uczynił dla wsi i miasta. On to bowiem kazał wystawić wieżę przy kościele katolickim, na kościele kazał położyć nowe belki, zaprowadzić nowe kozły, cały dach przełożyć, nowe powiększone okna w kościele zrobić, główny wchód do kościoła rozszerzyć i cmentarz swoim kosztem ogrodzić. Ten sam pan Klug starał się i miasto Grzymałowo podnieść, nadając mu prawo pobierania brukowego, założył w niem znaczne przędzalnie wełny i gromadził sukienników i płócienników, miał także zamiar założyć piękny ratusz i wielki kościół ewangelicki w mieście, lecz dla upadającego majątku przez nieszczęśliwe spekulacye zamiaru swego nie mógł wypełnić.

Już bowiem roku 1796 poszły dobra swarzędzkie na subhastę, na której szambelan Bojanowski je kupił. Ten to pan zdaje się być ostatni, w którego ręku te dobra w całości pozostawały. Około roku 1830 przeszły one bowiem w ręce fiskusa, który je parcelować kazał na mniejsze folwarki i gospodarstwa chłopskie, i posprzedawał osobom prywatnym.

W ten sposób został z obszernych dóbr swarzędzkich tylko jeden folwark, mający obszaru ziemi 850 ha i 100 ha jeziora z dwoma małemi wyspami, a z reszty poczyniono tylko mniejsze lub większe gospodarstwa. Z dawnego zamku swarzędzkiego, w którym przez całe wieki chowały się pokolenia takich Grudzińskich, Opalińskich, Koźmińskich dziś i śladu niema; nie wiem nawet, czyby ktoś umiał powiedzieć gdzie stał i jak wyglądał. Nareszcie nadmienić należy, że miasto Swarzędz przez cały czas swego istnienia bardzo wiele ucierpiało przez pożary, tak iż w roku 1656 całkiem w perzynę obrócone zostało. W roku 1707 zniszczyli je prawie doszczętnie Moskale.

Co do ludności, to jak widzieliśmy od samego początku, ludność w mieście samem była wyłącznie żydowska, powoli zaczęła się mięszać przez nowych przybyszów innego wyznania. Żydzi trudnili się handlem i rzemiosłami, mianowicie krawiectwem, chrześcianie zaś rzemiosłami zwyczajnemi, prócz tego sukiennictwem i płóciennictwem, mało zaś trudnili się uprawą ziemi.

Swarzędz liczył dawniej 87 sukienników; po roku 1840 było ich tylko 19, dziś nie ma żadnego.

Żydom nie było wolno zajmować się wyrabianiem sukna.

Głównym przemysłem w Swarzędzu było w 17 stuleciu piwowarstwo. Trzydziestu piwowarów miało wspólny browar, który stał na miejscu dzisiejszego kościoła ewangielickiego. Dowóz piwa z innych miast surowo był zakazany.

Kościół w Swarzędzu pierwotnie był drewniany, był już za czasów Koźmińskich murowany, jednak nie tej wielkości i formy jak go dziś widzimy, został powoli w trzech rozmaitych czasach wybudowany.

Pierwsza część najstarsza, począwszy od wielkiego ołtarza aż do ambony włącznie była już r. 1695 wykończona, miała sklepienie w formie półcelindrowej z desek i 3 ołtarze. Drugą część kościoła wymurowano około r. 1753 z posową płaską z desek i postawiono w tej nowej części nowe 2 ołtarze. Wieżę jako trzecią część kościoła postawiono r. 1792. Cały prawie kościół doznał doszczętnej przemiany i reperacyi od r. 1868—1884.

Z czasów wojen napoleońskich w tradycyi przechowuje się zabawny epizod: gdy bowiem wojska cesarskie zbliżały się do Swarzędza, ludność męzka złożona z żydów, sformowała na poczekaniu kadry niby — wojskowe i aby go powitać wyszła „w pełnem uzbrojeniu“ naturalnie w co kto mógł naprzeciwko cesarza Francuzów. Zdumiony

tym niezwykłym widokiem wojowników żydowskich cesarz ze swym sztabem zatrzymał się w pewnej odległości, a widząc ten ruch wojsk francuzkich i przypisując go obawie Napoleona przed nieznaną „armią“, żydzi wysłali ku niemu swych starszych, z których jeden miał się odezwać: „Nie bój się, panie cesarz, — to tylko żydki ze Swarzędza!“

Słowa te przeszły do potomności niejako w formie przysłowia.

Co do istnienia Swarzędza, to widzieliśmy z powyższego, że egzystuje on już całe wieki, a podczas gdy inne miasta w tym samym czasie a może nawet i później założone wybiły się i wyrobiły na miasta poważne i wielkie, to Swarzędz został Swarzędzem i bodaj czy ludność przez lat 300 t. j. od średnich wieków o 1000 głów się powiększyła. Temu jednak, jak każdy łatwo pojmie i wie, nie ma się co dziwić, Poznań jest miastem już wielkiem i Swarzędza za blisko i jako wielkie miasto stoi na przeszkodzie rozwojowi i powiększeniu się Swarzędza. Dlatego też i na przyszłość nie możemy rokować temu miasteczku wielkiego rozwoju i pewnie, mimo najlepszych chęci i szczerych ofiar i szczerej pracy, wielkiego miasta ani my, ani nasi potomkowie ze Swarzędza już nie zrobią.

Dziś liczy Swarzędz 3000 mieszkańców, mianowicie 1800 Polaków, 900 Niemców, 300 żydów. Kościół katolicki, o którym powyżej piszemy, nie ma pamiątek i grobowców historycznych; proboszczem jest ks. radzca dziekan Jan Dambek. Corocznie odbywa się kilka odpustów; największy odpust jest na św. Marcina. Nadto posiada miasteczko to ratusz, zbór ewangelicki, bóżnicę i dwie szkoły, katolicką i ewangelicką. Do pierwszej uczęszcza blizko 500, do drugiej 250—300 dzieci. Lekarzem jest p. dr. Błażejczyk. Właścicielem apteki jest Niemiec. Istnieją tutaj dwa polskie towarzystwa: „Tow. Przemysłowców“, prezesem jest p. A. Roszak oraz „Kółko rolnicze“, do którego przeważnie należą rolnicy z okolicy. Prezesem jest pan Jeske z Łowencina. „Spółka stolarska“, która się zawiązała w roku 1900, nieźle prosperuje. Spółka trudni się przeważnie odstawianiem mebli wyrabianych przez stolarzy swarzędzkich głównie do Poznania. Handel i przemysł polski spoczywa w ręku następujących firm względnie osób: Skład towarów kolonialnych i drogeryjnych pani Staniewskiej, handel bławatny pani Michałowskiej, handel bławatny pana Szuberta, handel bydła pod firmą „Józef Cabański i Stefan Mikołajewski,“ skład dewocyjny pana Leśniewicza, oraz oberza pana Dykierta, w której się odbywają posiedzenia Kółka rólniczego i Towarzystwa Przemysłowego.

Dodać należy, że Swarzędz posiada prześliczny ogród, położony nad wielkiem jeziorem, ciągnącem się od Zielinca, młyna parowego aż pod Gruszczyn, wieś pani Gabryeli Kończy. Do ogrodu tego Poznańczycy często robią wycieczki, ku ułatwieniu których dyrekcya kolei żelaznej osobny co niedzielę po południu o godzinie 3 latem wysyła pociąg, który wieczorem o 9 do Poznania wraca. W ogrodzie tym jest hotel i restauracya, w hotelu jest około 20 mebl. pokoi, służących przeważnie do użytku kuracyuszy, a raczej rekonwalescentów, dla których ogród ten bardzo jest podatny. Niestety w rękach niemieckich!

Nie możemy zakończyć niniejszego opisu, ażeby nie życzyć tej małej mieścinie, w której się tyle plemion naszego narodu wykolebało i wychowało, ażeby temu miasteczku, co tyle przeszło wieków i burz, co tyle pamięta ludzi nie wyrazić życzenia: niech się rozwija, niech kwitnie, aby się i nadal chować w niem mogły plemiona prawych obywateli i szczerych Polaków!

Dr. B.

Góra poznańska.

Słuchajcie gadki starożytnej treści,
Słuchajcie sercy waszemi:
Któż wie, jak długo, te stare powieści,
Będą w waszej brzmiały ziemi?

Kiedy Bolesław świętą szerząc wiarę
Ciemne wykorzeniał wieki;
Strącał i kruszył Polan bogi stare,
W nurtach szumnej topił rzeki,

Miłoż to było pociągnąć oczami
Po wielkopolskiej krainie;
Cała się w koło zwieńczyła krzyżami
I z gór wyrosły świątynie.

W dźwięcznych się zdrojach rozpływało [wszędy
Religijnej spiży brzmienie,
Wszystkiemi drogi, na nowe obrzędy,
Lały się ludu strumienie.

I ciągnąc w boje dzielne hufce państwa,
Grzmiały hymn Boga Rodzicy,
A Szczerbiec słońcem ranku chrześciań- [stwa
W Chrobrego jaśniał prawicy.

Nie mogło piekło tyle ścierpieć blasku
Tryumfu króla i wiary,
Takim więc grzmotem czartowskiego [wrzasku,
Straszliwe rykły pieczary:

„Wstrzymajmy Wartę, przetnijmy jej [wody,
„Niech wzrosną w morze topieli;
„Zanurzmy wszystkie świątynie i grody,
„Zalejmy krzyża czcicieli!“

I wichry w jarach, wilki w puszczach wyją,
Głębsza noc czernieć zaczyna,
Drżące się gwiazdy za chmurami kryją,
Wybija duchów godzina.

Snują się, bielą w okropnej ciemności,
Huczą puszczyki i sowy,
Słychać w kostnicach chrzęsty ludzkich [kości,
Trupie przemawiają głowy.

I gdzie tę górę zwaną kopcem Nij
W pogańskiej czczono ślepocie;
Gdzie sprosne kłęby i wężów i żmij
I okropnych ropuch krocie,

Gdzie czarne świerki, gdzie ów wiąz [spruchniały?
W ostatnim listku już kona,
I wciąż ku niebu, jak nędzarz zgłodniały,
Uschłe wyciąga ramiona,

Jakiż tam hałas i krzyki radosne,
Jakiż szum, szelest po puszczy?
Z wszystkich ziem Polski lecą czarty [sprosne,
Do wściekłej łączyć się tłuszczy!

Pędzi, przypada Rokita sromotny,
I Smułka potwór dziwacki,
I czarny Węglik i Boruta psotny,
I okropny Widoracki, *)

Leci i wyje czarny duch za duchem,
Kupi się poczet szatański,
I wielkim ramion złączonych łańcuchem,
Otacza kopiec pogański.

I trzykroć szumnym okrążywszy lotem,
Z dzikim go wrzaskiem opada,
Ciągnie, oddziera, wykorzenia z grzmotem,
I na spiekłe barki wkłada.

I hura! hura! z wściekłym leci rykiem,
Jak groźną niesie nawałę;
Nocne się ptaki rozpierzchają z krzykiem,
Okropnem widmem zdumiałe.

Z wszystkich stron wichry szumnym lecą [hurmem,
W rozległej huczeć równinie,
I bory strasznym rozrzucają szturmem,
A góra płynie i płynie.

I grom za gromem, błysk za błyskiem goni,
Rozświeca larwy piekielne;
A choć od ludzkiej niedotknięte dłoni,
Wciąż jęczą dzwony kościelne.

Pędzi i pędzi zgraja przeraźliwa,
I góra wichry pregania,
Szumi nad puszczą, nad Obrą przepływa,
Dosięga murów Poznania.

I już, już widzą, dopadają Warty,
Cieszy się tłuszcza zajadła:
Gdy w tem kur zapiał, i prysnęły czarty,
A góra w miasto upadła.

---

*) Wszystkie te nazwiska polskich czartów, wzięte są z gminnych podań.

Zatrząsł się Poznań, na pół w gruzach [runął,
Czarna pękła nawałnica;
Skoczył nurt rzeki i wstecz się odlunął,
Zadrżały Gniezno, Kruszwica.

I długo, długo, liczne echa grzmiały,
Jakby setne rykły burze:
A gdy dzień błysnął, zbiegł się lud stru- [chlały,
Zjawionej dziwić się górze.

I przez lat wiele, mimo nowej wiary,
Straszliwym była przestrachem,
Aż na nią wstąpił nasz Mieczysław stary,
I świetnym zwieńczył ją gmachem.

Licznym on szturmem, licznym łupem [męstwa,
W wojennych wsławiał się latach,
Wzniosłe tam psalmy i hymny zwycięstwa,
Po złotych brzmiały komnatach.

I coraz, coraz bujniej w państwie młodem,
Wzrastały wiary nasiona,
A krzyż zbawienia nad całym narodem
Święte rozciągnął ramiona.

F. M.

Niedaleko Swarzędza i Poznania leży jedna z najznaczniejszych majętności polskich a mianowicie:

Kobylepole.

Urocza siedziba Mycielskich znaną jest dobrze wszystkim Poznańczykom. Starsza generacya pamięta majówki szkolne do lasku kobylepolskiego, gdzie młodzież ochoczo się bawiła, a grono profesorów gościnnie podejmowane było przez sędziwego właściciela, weterana walk za Ojczyznę. Dziś majówek zakazano, a lasek wycięto pod fortyfikacye. Wszakże zostało go jeszcze dosyć, a dzisiejszy właściciel również rad gościom poznańskim, pragnącym odetchnąć świeżem wiejskiem powietrzem.

Nazwisko Kobylepola zachodzi w najstarszych dokumentach. Pierwotnie tu zapewne była stadnina poznańskich Piastów. Z biegiem czasu majętność przeszła w ręce możnej rodziny Spławskich, z nich spadkiem przez Skaławskich i Koźmińskich do Mycielskich, w których ręku znajduje się od przeszło 150 lat.

Pałac kobylepolski, którego widok podajemy, zbudowany został pomiędzy latami 1840 a 1850, wedle planów sławnego Schlütera, i odznacza się klasyczną zewnętrzną formą i wykwintnem urządzeniem wewnętrznem; w roku zeszłym dobudował doń obecny właściciel kaplicę, w miejsce dawnej kwiaciarni. Piękna tu biblioteka i galerya obrazów dawnych mistrzów, oraz obrazów rodzinnych. Na szczególną uwagę zasługuje krajobraz włoski Salvatora Rosy, bitwa pod Wiedniem Verneta, oraz znany z miedziorytów portret Maryi Leszczyńskiej Nattiera.

W parku kobylepolskim znajduje się stara aleja lipowa, w której ówczesny właściciel Stanisław Mycielski, wojewodzic inowrocławski, podejmował gościnnie w roku 1812 marszałków cesarza Napoleona. Wtedy też osobisty jego przyjaciel marszałek Massena podawał mu do chrztu św. najmłodszą córkę, późniejszą pułkownikową Brezinę i na dobrą wróżbę nadał jej imiona Konstancyi i Wiktoryi, tj. stałości w zwycięztwie.

Niestety wróżba się nie spełniła, a katastrofa w następnym roku i nasz kraj krwią zalała i gruzami pokryła. Stanisław Mycielski umarł młodo na cholerę, a wdowa jego Anna z Mielżyń-



Śp. Anna z Mielżyńskich hrabina Mycielska, która 5-ciu synów wysłała w bój za Ojczyznę, a zkąd po krwawych zapasach tylko dwóch powróciło w ramiona przygnębionej matki; trzech synów zaś padło trupem na polu chwały.

Cześć Matce-Polce po wsze czasy, cześć Obywatelce przezacnej; niech ta ziemia polska, krwią przesiąkła, Nieboszczce tak lekką będzie, jak ją gorąco kochała!

Zmówmy „Wieczny odpoczynek“ za tę duszę czystą, a tak szczerze polską!

skich w roku 30-tym pięciu synów wysłała na walkę za Ojczyznę; trzech z nich zginęło bohaterską śmiercią, a dwóch pozostałych ciężkie odniosło rany. Król pruski Frydryk Wilhelm IV umiał uszanować poświęcenie dla kraju i przy żadnej bytności w Poznaniu nie omieszkał odwiedzić szlachetnej wdowy, już to w Kobylempolu, już to w dworku jej poznańskim przy ulicy Ogrodowej. Na pamiątkę swych odwiedzin pozostawił piękny swój portret wypalony w porcelanie.

Kobylepole stało się własnością najmłodszego syna Stanisława i Anny, Józefa hrabiego Mycielskiego, który zamieniwszy oręż na lemiesz, zaprowadził wzorowe gospodarstwo. Słynęła swego czasu Kobylepolska owczarnia zarodowa, a mlekiem tutejszych krów do dziś się delektują Poznańczycy. Sędziwa a poważna postać hr. Józefa znaną była w Poznaniu. Wytrawnej jego rady nieraz zasięgali kierownicy sprawy publicznej, a hojną jego dłoń błogosławiło ubóstwo naszego miasta. Hr. Józef zmarł bezdzietnie



Ludwik hrabia Mycielski, jako wierny syn Ojczyzny legł bohaterską śmiercią na polu chwały pod Grochowem. Młodzieży! zmów „Zdrowaś“ za tę duszę piękną i waleczną.

w roku 1881, a majątek Kobylepolski pozostawił wnukowi brata Ludwika, bohatera z pod Grochowa.

Dzisiejszy właściciel, również Józef, trzyma majątek rodzinny we wzorowym porządku, a wolne chwile poświęca literaturze.

(Dokończenie opisu powiatu poznańskiego wschodniego, oraz opis powiatu poznańskiego zachodniego z bardzo licznemi illustracyami podamy w następnym numerze.)



Pałac w Kobylepolu.

Tajemnicza zbrodnia

Oryginalnie przetłomaczył z francuskiego dla „Pracy“

Empa.

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy.)

— Pan nie możesz odjeżdżać — zaprzeczył Bison — sędzia bowiem będzie potrzebował twej obecności. Trzeba komu innemu powierzyć tę okropną misyą.

Po krótkich naradach postanowiono prosić o to proboszcza. Doktor zamierzał właśnie iść do niego, gdy nagle wbiegł służący z uwiadomieniem, że markiz nie odzyskał jeszcze przytomności i że stan jego zdaje się być coraz to groźniejszym.

— Panna Gina umiera z rozpaczy, — dodał stary sługa ze łzami w oczach — pójdź pan prędko!

Wiadomość ta przeraziła niezmiernie Violę. Nie czekając już ani chwili, udała się z doktorem natychmiast do pokoju kuzyna, podczas kiedy Bison zajął się napisaniem listów do proboszcza i do prokuratora, a Janka sama została przy zmarłej.

Markiz tymczasem leżał na kanapie nieruchomy i nieprzytomny. Obok niego klęczała Gina.

— O Boże, papa nie żyje! — zawołała, załamując ręce. — Patrz Violo, jaki on blady i zimny.

Doktor Border poprosił przedewszystkiem Violę, aby wyprowadziła płaczącą Ginę, poczem z pomocą służącego rozebrał markiza i zajął się jego trzeźwieniem.

Viola uznała chwilę tę za stosowną do wyznania Ginie całej prawdy, tyczącej się nieszczęśliwej matki, dłużej bowiem nie można było ukrywać przed nią smutnej rzeczywistości.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Zaledwie wieść o morderstwie w zamku Saint-Luc doszła uszu prokuratora, wybrała się komisya sądowa na miejsce strasznego dramatu. Prokurator Jantel, sędzia śledczy Servian i komisarz policyi Gerin pojechali tam natychmiast, zabierając ze sobą kilku żandarmów i pisarza.

Gdy przybyli do zamku, zastali markiza w ciężkiej gorączce, którą daremnie doktor Border starał się zwalczyć. Bison przyjął komisyą w salonie i opowiedział wszystko, co wiedział o zbrodni, nadmieniając, że drzwi sypialni markizy były zamknięte wczoraj i zaryglowane, i że dziś zastano je zupełnie jeszcze tak samo zamknięte.

— Cała ta sprawa jest nam zagadką — dokończył smutnie.

Prokurator i sędzia słuchali uważnie jego słów, poczem zaczęli go wypytywać o wszelkie, chociażby najdrobniejsze wypadki wczorajszego dnia. Bison nie zataił niczego, bo ostatecznie nic się nadzwyczajnego nie stało, a gdy wspommniał, że dziś, ujrzawszy zamordowaną, pierwszą myślą domowników było, że sama sobie odebrała życie, zawołał sędzia żywo:

— Czemu? Czy markiza nie żyła szczęśliwie z mężem?

— O nie! — odrzekł Bison. — Markiz jest człowiekiem tak zacnym, łagodnym i dobrym, że każda kobieta musiała być z nim szczęśliwą. Pani markiza natomiast była bardzo kapryśną i obraźliwą.

— Co do Horacego — rzekł sędzia — to potwierdzam najzupełniej zdanie pana. Jest to mój stary, dobry przyjaciel, znam go od dawna i szanuję go i lubię niezmiernie.

— Możemy się z nim widzieć? — zapytał prokurator.

— Obecnie — nie — zawołał lekarz. Stan jego budzi wielkie obawy i wymaga wielkich ostrożności!

— Więc od kogo możemy się dowiedzieć bliższych szczegółów co do ostatnich godzin wieczornych, które markiza przepędziła w swoim pokoju?

— Od Pauliny, garderobianej!

— W takim razie powiedz pan jej, aby się przygotowała na przesłuchanie — oświadczył prokurator. — Reszta służby musi przyjść także tutaj!

Potem udali się panowie na górę, żandarmi zaś zostali na dole. Jeden z nich stanął przy bramie dziedzińca, aby nie wpuszczać ciekawych, wieśniacy bowiem, usłyszawszy o morderstwie, zbierali się tłumnie dokoła zamku, domagając się zobaczenia zmarłej pani.

W sypialni markizy zastała komisya Paulinę i Jankę, a prokurator zdumiał na widok wzorowego porządku, jaki tu panował.

— Czy pani poustawiała sprzęty dziś rano? — zapytał Jankę.

— Nie, nie ruszyłam ani jednego nawet krzesła — odrzekła młoda dziewczyna.

— I ciało pozostało tak, jak je znaleziono?

— Zupełnie tak samo!

— W jaki sposób, podług zdania pana, zamordowano markizę? — zwrócił się prokurator do doktora.

— Bardzo ostry sztylet przebił płuca i serce. Ugodzono ją, gdy spała mocno.

— Do kogo należy sztylet?

— Wiem bardzo dokładnie, że to własność pani markizy — rzekła Paulina. — Z początku nie mogłam go dojrzeć, ale teraz poznaję rękojeść. Jest to sztylet indyjski, który leżał zawsze na stoliku przy łóżku. Pani używała go do rozcinania książek, gdy leżąc, czytała.

— Był wczoraj wieczorem na zwykłem miejscu?

— Tak, przypominam to sobie dobrze, bo gdy przechodziłam, zrzuciłam go rękawem na ziemię. Podniosłam go zaraz i położyłam na dawniejsze miejsce.

— Czy markiza czytała wczoraj jeszcze, leżąc w łóżku?

— Nie, zanadto była rozdrażnioną!

— Z czego to wnosisz?

— Nie mogłam jej wcale dogodzić. Łajała mnie nieustannie, a gdy nasz pan kazał jej powiedzieć, że chciałby się jeszcze z nią widzieć, odrzekła, że jest zanadto zmęczoną i że chce spać. Zdarzało się to bardzo rzadko, że była taką względem pana markiza niegrzeczną.

— A potem co?

— Potem musiałam wszystkie drzwi zaryglować i gdy wychodziłam, słyszałam wyraźnie, że pani za mną drzwi zamknęła i rygiel zasunęła.

— Jest to bardzo ważne — rzekł prokurator. — Namyśl się moje dziecko dobrze, czy nie omyliłaś się...

— Nie, z pewnością nie — zapewniała Paulina żywo. — Mogę przysiądz, że tak było. Zresztą może się pan sam o tem przekonać! Te drzwi wyłamał pan markiz przemocą, gdy chciał wejść do pokoju, w buduarze i w garderobie zaś są drzwi zamknięte tak, jak były wczoraj. Nikt tam jeszcze nie wchodził.

Bison potwierdził słowa Pauliny, dodając, że drzwi łączące buduar i garderobę z sypialnią, zamknął dziś sam i schował klucze. Teraz wyjął je i otworzył buduar. Komisarz policyi obejrzał najpierw dokładnie okna i okiennice i znalazł wszystko w największym porządku. Pokój ten miał troje drzwi — jedne wiodły na korytarz, drugie do sypialni markizy, któremi panowie weszli, trzecie zaś do sypialni markiza, ale jedne i drugie były oczywiście zamknięte na klucz i zaryglowane.

— Tą drogą morderca wejść nie mógł, to jest niemożliwe — rzekł komisarz. — Idźmy do garderoby!

Bison otworzył drzwi i panowie obejrzeli znów dokładnie drugi ten pokój. Była to bardzo obszerna komnata, o jednem tylko oknie, wązkiem, łukowato zakończonem, w stylu czysto gotyckim, oprócz zaś drzwi, łączących ją z sypialnią, były tam jeszcze jedne tylko drzwi, nizkie, u góry okrągłe i bardzo mocne, a drewniany krzyż nad niemi dowodził, że niegdyś była tu kaplica zamkowa.

I tutaj zbadał komisarz najpierw okno, które było zamknięte na wewnątrz, tak samo jak i okna w buduarze. Prokurator otworzył, je potem wyjrzał i rzekł do Bisona:

— Jak widzę, znajdujemy się tu w starej wieży, kończącej wschodnie skrzydło zamku. Druga taka wieża znajduje się na zachodniej stronie. Niema żadnych schodów, wiodących na szczyt wieży?

— Owszem — odrzekł Bison, — schody są, ale sięgają tylko do tego tu piętra. Nad tym pokojem leży na drugiem piętrze mój pokój, do którego jednak można wejść tylko głównemi schodami.

Zamknięte na klucz i zaryglowane małe drzwi otworzył teraz prokurator i panowie ujrzeli schody wązkie, kręte, kamienne, mocno wydeptane, ale pomimo dokładnego badania nie zauważyli nic takiego, coby wskazywało, że ktoś tędy szedł niedawno.

Zamek i zasuwka były nietknięte, zresztą nikt nie mógł wejść tędy, bo drzwi były na wewnątrz zamknięte.

Tak zwana garderoba była urządzoną z niezmiernym przepychem, który dziwną tworzył sprzeczność z gotyckiem oknem i ogromnym obrazem Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Obraz ten zajmował wielką część ściany i sądząc z ram oraz sposobu malowania, musiał być bardzo starym. Bison opowiadał urzędnikom, że „Dziewica ze Wschodu“, tak bowiem obraz ten zwano, pochodził rzeczywiście z dalekich krain, a przywiózł go jeden z przodków markiza z wojen krzyżowych. Opat jakiegoś klasztoru, którego dzielny wojownik obronił od napaści Turków, podarował mu go z wdzięczności. U stóp obraza, sięgającego od ziemi aż do sufitu nieomal, znajdowały się dwa drewniane schody, w rodzaju klęcznika, obraz sam zaś nie wisiał, tylko był wmurowany w ścianę.

Panowie z zajęciem patrzyli na arcydzieło to, odbijające dziwnie od modnych, kosztownych mebli, a Bison dodał jeszcze, że podług podania rodzinnego, ród Saint-Luc nie wymrze dopóty, dopóki obraz ten zostanie w zamku. Dlatego umocowano go tak, aby nikt nie mógł go zabrać.

— Ale markiz ma jednę tylko córkę, — zauważył prokurator z uśmiechem.

— No, markiz żyje przecież jeszcze, — odrzekł sędzia, — i młodszy brat jego także! Jeden z nich więc może mieć syna!

I znów rozpoczęło się badanie i przeszukiwanie każdego kąta, nawet kominki nie uszły uwadze komisarza. Ale i tu nie znaleziono nic. W sypialni Laury nie wygasnął ogień dotąd jeszcze, w buduarze zaś i w garderobie leżał popiół ciepły, nienaruszony, gdyby więc morderca był się spuścił kominkiem, to musiałby się narazić na gwałtowne poparzenie i byłby zostawił wyraźne ślady popiołu na podłodze.

— Możnaby doprawdy rozum stracić, — zawołał komisarz. — A przecież zbrodniarz musiał którędyś wejść!

— Może istnieje tu jakie potajemne wejście, jak się to często znajduje w starych zamkach, — zauważył sędzia.

Komisarz opukał starannie wszystkie ściany, nigdzie jednak nie natrafił na ślady drzwi. W niektórych miejscach zerwał nawet tapety i podnosił dywany, aby się przekonać, czy nie ma w podłodze jakiego wejścia, powyrzucał ubrania ze szaf i nie znalazł zgoła nic!

Po kilku godzinach daremnego szukania rzekł nareszcie prokurator:

— Późno już, panie komisarzu, a jeżeli chcesz szukać dalej, to zostań tu sam. Sędzia i ja zaczniemy teraz przesłuchiwanie domowników!

— Dobrze. Chciałbym dokończyć mej pracy, — odpowiedział Gerin. — Tajemnica ta zajmuje mnie niezmiernie, dołożę więc wszelkich starań, aby ją wyjaśnić.

— Pan zaś, — zwrócił się prokurator do lekarza, — zajmiesz się pewnie sekcyą, pan Bison wskaże ci stósowny do tego pokój.

Wszyscy więc, oprócz Gerina, udali się teraz na dół, do salonu i tutaj rozpoczęło się badanie. Najpierw wezwano Violę, która w krótkich słowach opowiedziała wszystko, co wczorajszego dnia zaszło. Prokurator wspomniał o zamiłowaniu markiza w zbieraniu starych dokumentów i wykopalisk i zapytał Violę, czy żona jego podzielała tę namiętność.

— Zdaje mi się, że nie, — odrzekła młoda dziewczyna, — ale w każdym razie była dumną na jego głęboką wiedzę i cieszyła się, gdy uczeni ludzie chwalili jego znajomość rzeczy. Umiała też należycie cenić szlachetny charakter męża, jego otwartość i szczerość. Będąc córką bajecznie bogatego ojca, widziała już tyle ludzi i fałszywych pochlebców, którzy patrzeli tylko na jej pieniądze, że bezinteresowność markiza imponowała jej niezmiernie. Pod tym względem nigdy też nie doznała zawodu!

— Wszyscy, którzy markiza znają, — wtrącił sędzia, — podzielają zdanie pani!

— Więc pani twierdzisz, że pożycie ich małżeńskie bardzo było szczęśliwem, — rzekł prokurator.

— Tak, — odpowiedziała Viola bez wahania.

— Jestem kuzynką Horacego. Po śmierci mego ojca wzięła nas, to jest mego brata i mnie, siostra jego, baronowa Regina de Plessis, i wychowała nas, jak własne dzieci!

— I od tego czasu żyłaś pani w jej domu?

— Tak!

— Kiedy umarła baronowa?

— Przed siedemnastu laty!

— Czy markiz był wtedy już żonatym?

— Nie, ale ożenił się wkrótce potem!

— I stanowisko pani zmieniło się wskutek tego, nieprawdaż?

— Tak, ciotka uważała mnie za swoją córkę, ale potem — zajęłam się razem z Janką wychowaniem Giny.

— Nie słyszałaś pani tej nocy żadnego szelestu?

— Nie!

— Nie podejrzywasz pani nikogo o popełnienie tej zbrodni i nie możesz nam dać jakich wskazówek, za pomocą których moglibyśmy rozwiązać tę zagadkę?

— Nie, gdybym o czem wiedziała, to powiedziałabym panu natychmiast, — odrzekła Viola z przekonaniem, podnosząc ku niemu swe piękne, łzami napełnione oczy.

— Może markiza miała nieprzyjaciół?

— O, że dużo ludzi zazdrościło jej majątku, urody i stanowiska, to nie ulega wątpliwości, ale nie znam nikogo, ktoby był osobistym jej nieprzyjacielem!

— Ale jako kobieta bardzo piękna i światowa — może wielbiciel jaki — rozumiesz pani.....

— Nigdy! — zawołała Viola oburzona. — Laura była wzorową żoną i żaden z znajomych nie byłby się poważył ubliżyć jej słowem lub spojrzeniem!

— Ale ktoś musiał przecież wejść do pokoju z jej wiedzą i wolą! Przez zamknięte drzwi nikt wchodzić nie może.

— Chociażby nawet tak było, to jakże mógł ów ktoś wyjść z pokoju, jeżeli wszystkie drzwi były wewnątrz zamknięte i zaryglowane, jak pan sam się o tem przekonałeś?

— Tak, i tego właśnie pojąć nie mogę!

Po Violi badał prokurator Bisona, który znał markiza i brata jego od kilkunastu lat. Serdeczna przyjaźń łączyła ich od dawna — markiz i Bison, obydwaj w młodości niezamożni, a równo gorliwy w poszukiwaniu starych kronik i dokumentów, zwiedzali razem stare zamki i probostwa i zbierali, co im w ręce wpadło. Horacy, nadzwyczaj skromny w swych wymaganiach, poświęcał się wyłącznie swoim studyom, które mu zastępowały wszelkie rozrywki i zabawy, i gdy, ożeniwszy się z panną Lemarche, dostał z nią kilka milionów posagu, nie zapomniał o swym wiernym przyjacielu Bisonie. Mając teraz dostateczne kapitały pracował dalej z prawdziwym zapałem, mając do pomocy Bisona, któremu ofiarował miejsce swego sekretarza.

— Dziwna rzecz, — rzekł prokurator, — że człowiek, tak zajęty nauką, ożenił się z damą wielkoświatową. Ale głównym powodem tego małżeństwa były zapewne miliony pana Lemarche.

— O nie, wcale nie, — odpowiedział Bison. — Horacy nie byłby się nigdy żenił bez miłości! On kochał szczerze swoją piękną żonę!

— I nie był zazdrosnym?

— Nie, cieszył się, gdy żonę jego podziwiano! Mówił nawet często, że ona powinna się bawić i używać świata!

Kto zbrodnią mógł popełnić, o tem nie miał Bison naturalnie żadnego wyobrażenia.

Po nim przyszła kolej na Jankę. Żywa, namiętna Hiszpanka, powiedziała natychmiast prokuratorowi, że zmarła dręczyła Violę i obrażała ją każdem niemal słowem, wynosząc natomiast pod niebiosa cierpliwość i łagodność, z jaką Viola wszystko znosiła. Ale ważnych wskazówek dać nie mogła tak samo, jak i cała służba zamkowa — nikt nie miał pojęcia, kto zamordował nieszczęśliwą markizę.

Tylko zeznanie starego służącego, Franciszka, wzbudziło pewne zajęcie, on to bowiem słyszał ostatnie słowa Lucyana, gdy przyszedł prosić markizę na kolacyą. Słyszał głośną rozmowę w salonie i w chwili, gdy otwierał drzwi, wołał Lucyan: „Strzeż się, Lauro! Strzeż się!“

Prokurator zbliżył się do sędziego i rzekł cicho:

— Czyżbyśmy natrafili nareszcie na jaki ślad?

— Może — odparł sędzia — w każdym razie trzeba prowadzić śledztwo jaknajostrożniej, aby nikt, a mianowicie hrabia Lucyan, nie dowiedział się o tem! Inaczej nie powiedzie nam się nic... Lucyan jest bardzo przebiegły człowiek, przewyższający niezmiernie brata pod tym względem, a przytem energiczny i nieznający żadnych skrupułów! Całą jego dążnością są pieniądze i wygodne życie!

— Zdaje mi się, że pan sam podejrzywasz go... — uśmiechnął się prokurator.

— Dopóki sprawa nie wyjaśni się, podejrzywam wszystkich! Chwilowo jest wszystko tak ciemne, jak już ciemniejszem być nie może! Jestem przekonany, że do pokoju markizy musi istnieć jakieś potajemne wejście, znane mordercy, inaczej bowiem jest niemożliwem, aby tam ktoś mógł był wejść. Ani Bison, zaufany przyjaciel markizy, ani panna Marburg, wychowana w tym zamku, nie znają tego wejścia, ale markiz i jego brat mogą je znać. Któż nam wyjaśni tajemnicę? Jeden z nich chory śmiertelnie, a drugi — oh, ten powie, że o niczem nie wie!

Prokurator zamyślił się na chwilę, potem spytał znowu:

— Nie wiesz pan, czy był jaki powód, dla którego hrabia Lucyan życzył sobie śmierci bratowej? Wszakże pan znasz markiza i hrabiego od dawna, powinieneś więc wiedzieć o tem!

— Nie mogę panu, niestety, dać na to stanowczej odpowiedzi. Mówiono raz, że Lucyan starał się sam o rękę panny Lemarche, ale że ojciec nie chciał mu jej dać dlatego, że był za młody. Nie wiem, czy to prawda, w każdym razie wiedzieli wszyscy, że gdy później wyszła za Horacego, zawarła z nim małżeństwo z miłości.

— Co na to mówił hrabia Lucyan?

— Nic, skorzystał tylko zaraz z położenia rzeczy i postarał się o miejsce u pana Lemarche. Poprzednio studyował medycynę, teraz został kupcem i przemysłowcem. Ma to być bardzo zdolny i sumienny człowiek!

— W każdym razie trzeba nam śledzić sprawę dalej w tym kierunku.

W tejże chwili wszedł stangret do salonu i badanie rozpoczęło się znowu. Stangret zeznał, że hrabia zdążył ledwie na pociąg, odchodzący do Paryża, że wkroczył w ostatniej minucie do wagonu i zawiadowca koleji przyniósł mu sam bilet, bo już czasu nie było na kupienie go. Pociąg ruszył natychmiast dalej.

Gdy prokurator przesłuchał wszystkich domowników, przyprowadzono mu pewną starą kobietę, mieszkającą w okolicy zamku. Opowiadała ona we wsi znajomym o tem, co w tej nocy widziała, a gdy jeden z służących usłyszał to, zabrał ją pomimo gwałtownego oporu ze sobą i wciągnął przemocą nieomal do salonu. Była to stara „doktorka,“ lecząca chorych ziołami, które sama w lasach i na polach zbierała. Wczoraj na wieczór wezwano ją do jakiejś pacyentki we wsi, a wracając od niej późno w nocy do domu, zauważyła w jednem tylko oknie zamkowem słabe, migotliwe światło, które ją niezmiernie przeraziło.

— Może wam się tylko zdawało, że widzieliście światło — rzekł sędzia z pozornem niedowierzaniem.

— Ach nie! Mateusz odprowadzał mnie i on widział je zupełnie wyraźnie, a że to tylko duchy być mogły, przeto przestraszony uciekł i zostawił mnie w parku samą.

— Jakie duchy?

— No, przecież w Dzień Zaduszny zjawiają się duchy! Nie mają spokoju w grobie biedne dusze grzeszników, więc przychodzą na ziemię i proszą żyjących o modlitwy.

— A co się działo z światłem? Widzieliście je długo jeszcze? — pytał sędzia.

— Z początku znikło zaraz, ale gdy się potem obejrzałam, widziałam, że posuwało się w wieży coraz to wyżej. Najpierw było na dole!

— W której wieży? — zawołał prokurator. — W tej, gdzie są kamienne schody?

Miał on na myśli wschodnią wieżą, w której znajdowała się garderoba markizy.

— Jakie schody? — zapytała stara.

— Nie znała ona widocznie rozkładu w zamku.

— W wieży, leżącej w kierunku Fraucieres, znajdują się kamienne schody — objaśnił ją sędzia.

— O nie, w tej światła nie było — zawołała stara stanowczo. — Z parku nie można jej przecież wcale widzieć. Światło było w wieży, leżącej od strony Ailly!

Prokurator poruszył głową niezadowolony, ale sędzia szepnął mu do ucha.

— Może ona ma słuszność, przekonamy się zaraz sami o tem! — Zwracając się zaś do kobiety, dodał jeszcze: — O której godzinie widzieliście światło?

— Gdy wróciłam do Ailly, uderzyło na zegarze kościelnym pół do trzeciej.

Kobieta wyszła, a prokurator niechętny, spojrzał na sędziego.

— Myślisz pan, — rzekł — że tajemne wejście do pokoju markizy znajduje się w przeciwległej wieży? To przecież niemożliwe. Cała szerokość zamku leży pomiędzy obydwiema wieżami!

— Zobaczymy — odpowiedział sędzia.

— Czas byłby mniej więcej ten sam. Doktor mówił, że śmierć markizy nastąpiła około drugiej!

— Sekcya wykaże to!

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Zadanie proboszcza wcale nie było łatwem i biedny drżał na myśl oznajmienia ojcu wiadomości o strasznej śmierci jego nad wszystko ukochanej córki. Ale ponieważ nikt nie chciał się tego podjąć, przeto musiał się proboszcz smutnej poddać konieczności.

O piątej po południu więc przybył do Paryża i udał się natychmiast do mieszkania pana Lemarche, aby tamże zaczekać na powrót jego z fabryki z Saint-Denis. Karol, służący jego, znał proboszcza i wiedział, że pan Lemarche ceni niezmiernie zacnego kapłana, a widząc, że proboszcz drży, rozniecił ogień na kominku, przysunął mu wygodny fotel i przyniósł szklankę wina, myślał bowiem, że gość zziębnął tak bardzo w drodze. Proboszcz wypił wino, ale nie stał się wcale spokojniejszym, a gdy wreszcie usłyszał zajeżdżający powóz, byłby najchętniej uciekł z pokoju.

Zaraz potem wszedł pan Jakób Lemarche, człowiek, który z prostego robotnika stał się milionowym posiedzicielem fabryk, zawdzięczając wszystko pracy rąk własnych. Był to mężczyzna wysoki, chudy, nieco pochylony, o szarych, przenikliwych oczach i dobrodusznym uśmiechu. Maniery jego, sztywne i trochę niezgrabne świadczyły, że nie był wychowanym w salonach, ale znaczenie jego w świecie kupieckim było ogromne. Jedno słowo pana Lemarche warte było nieraz tysiące! Będąc bardzo jeszcze biednym, ożenił się z młodą i ładną dziewczyną, nie mającą ani grosza posagu. Pożycie ich było niezmiernie szczęśliwem, ale po upływie dwóch lat umarła pani Lemarche, zostawiając zrozpaczonego męża i kilkodniową córeczkę Laurę. Całą miłość oddał teraz wdowiec swemu jedynemu dziecku, ale ponieważ w przeciągu kilku lat stosunki jego majątkowe tak się polepszyły, że mógł kupić fabrykę, przeto musiał się zająć wyłącznie interesami, i powierzyć wychowanie córki ludziom zupełnie obcym. Mała Laura, której majątek z każdym się zwiększał rokiem, była więc od najpierwszej młodości otoczona pochlebcami, wypełniającymi ślepo każde jej życzenie, to też nie dziw, że stała się wyniosłą, dumną, zarozumiałą i samolubną. Po ojcu odziedziczyła energię i pewien rodzaj uporu, który najwidoczniej objawiał się wówczas, gdy stanowczo oświadczyła, że albo zostanie żoną markiza de Plessis, albo wcale za mąż nie wyjdzie. Pan Lemarche zgodził się na jej żądanie, pokochał zięcia jak własnego syna i Viola także znalazła w nim prawdziwego i serdecznego przyjaciela. Wiedział on bardzo dobrze, że Laura dokucza nowej kuzynce jak może, chociaż udawał, że wcale na to nie zważa, a cierpliwość i łagodność młodej dziewczyny wzruszała go niezmiernie. Niegrzeczność córki wynagradzał jej w ten sposób, że okazywał jej zawsze największy szacunek i przyrzekł uroczyście, że zajmie się przyszłością ukochanego jej brata Gastona.

Gdy ujrzał teraz proboszcza, uśmiechnął się wesoło.

— No, proszę, kochany nasz proboszcz — zawołał, wyciągając do niego obie ręce. — Jaki szczęśliwy wiatr przywiał cię tu do nas?

Ale w tejże chwili zauważył zmieszanie kapłana i dodał niespokojny:

— Mój Boże, co się stało? Czy w zamku zaszło coś nadzwyczajnego? Gina...?

— Nie, Gina zupełnie jest zdrową — szepnął kapłan, tracąc coraz więcej przytomność umysłu.

— Więc Horacy... albo Viola...

— Nie, nie, oni żyją, ale...

— Ah, moja córka — krzyknął nieszczęśliwy ojciec. — Co się z nią stało? Mówże prędzej, co się stało?

— Nieszczęście, okropne nieszczęście! — wyjąkał nareszcie proboszcz. — Markiza nie... żyje!

— Nie żyje! — powtórzył Lemarche głucho i upadł na krzesło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,

napisana przez

Alberta Gorowskiego.

(Dokończenie).

— Owa! — przerwała pani Katarzyna, jakżeż nie żyje, kiedym go na własne oczy widziała, mówiłam z nim ot jak teraz z panią mówię, żyje i zdrów Bogu dzięki, jaka to pani niewierna!

Mowa kobiety zatrzymała uwagę pani majorowej, poczęła ją wypytywać jak i co, po nitce doszła do kłębka; na pytania odpowiadała pani Katarzyna zrozumiale i dokładnie, z miną tak rzetelną i wiarogodną, że uwierzono jej wreszcie.

Udowodniwszy pani Katarzyna li siłą wymowy prawdziwość doniesienia, poczęła rozpowiadać szeroko o rozmowie, jaką miała z Stanisławem, mianowicie niepokoiło ją wielce, że mu powiedziała, że panna się za hrabiego wydaje, że on to sobie wziął bardzo do serca i nie chciał jej do końca wysłuchać i wyleciał jak opętany gdzieś ku stronie Wisły.

— Boję się, żeby się jeszcze gdzie nie utopił — dodaje.

Marya stała się jeszcze więcej niespokojną; pani majorowa uspokaja ją jak może, Basia mruga bezustannie na panią Katarzynę, aby przestała tak mleć językiem. Wreszcie rozpoczęły się narady nad tem co teraz robić wypadnie. Marya mówi:

— Mamo, on tu gotów nie przyjść, wiesz co się ze mną działo, wiesz co mu nagadali słusznie, gotów myśleć, że ja wiarołomna, on może sobie zrobić coś złego, ja się bardzo lękam, trzeba go pójść szukać.

Stanęło na tem, że pani Katarzyna, ofiarująca dobrowolnie swoje usługi, pójdzie szukać za Stanisławem, pójdzie także i Basia, ale w stronę przeciwną, obiedwie mają się stawić za kilka godzin z powrotem albo z poszukiwanym, albo z relacyą o wyniku poszukiwań.

Marya niecierpliwa ulegając namowom matki, zdecydowała się wreszcie do cierpliwego wyczekiwania powrotu obu kobiet, była bardzo niespokojna, nie mogła sobie miejsca znaleść, to siadała przed oknem na krześle patrząc przed siebie, to wstawała i chodziła szybkiemi krokami, to siadała znowu.

Pani majorowa zaś rozmyślała nad zrządzeniem opatrzności boskiej; dawniej jeszcze przed wyruszeniem Stanisława na niebezpieczną wyprawę w lasy, z przyszłości Maryi wybudowała w myślach gmach piękny, wiatr powiał przeciwny i gmach runął, wybudowała nowy, teraz i ten się rozsypał, zaś pierwszy począł się sam z gruzów podnosić. Na świecie nie tak się dzieje, jak sobie człowiek zamyśla, lecz tak jak Bóg zrządzi.

* * *

Stanisław wysłuchawszy opowiadania pani Katarzyny, wyleciał, jak wiemy, nie czekając końca z rozpaczliwemi myślami w głowie w stronę Wisły.

Stała mu w oczach wiarołomność Maryi.

— Zapomniała o mnie, idzie za hrabiego — powtarzał — olśnił ją blask tytułu i majątku, chce być wielką damą; ze mną byłaby tylko zwykłą szlachcianką, ale ja ją za to tak bardzo kochałem! jeszcze ją kocham! nic jej pamiątki z mojej duszy nie wydrze.

Stanisław zaszedł nad Wisłę, a sam nie wiedział jak się to stało, szedł długo brzegiem aż w miejscu, gdzie kończyło się przedmieście, siadł na zżółkłej murawie i patrzał w zwierciadło rzeki, fale były czyste, zielonawej barwy, coś tajemniczego z nich przemawiało, zdawały się wabić do swojej głębi.

Stanisław oparł czoło o ręce i zapłakał, było mu bardzo smutno, przypomniał sobie noc straszną, którą ranny na pobojowisku przepędził, poczynał żałować, że owa noc nie była ostatnia jego życia, teraz mu było jeszcze ciężej na duszy; w onej nocy był ranny na ciele i opuszczony od ludzi, dziś miał serce złamane i opuściła go kochanka. Głębie Wisły stawały się z każdą chwilą coraz ponętniejsze dla niego, patrzał w nie i nie mógł od nich oczu oderwać, coś go w nie ciągnęło.

— Tam tak spokojnie — mówił, tam serce nie boli, nie zdradzi mnie więcej kochanka, jedna chwila i skończy się wszystko, gdyby spróbować? jeden skok i będzie po wszystkiem. A gdzie jest twoja siła moralna? mówiło mu sumienie, a co zasady wiary na to powiedzą? nie masz hartu na tyle, aby znieść przeciwności życia, walczyć ci się nie chce, chciałbyś mieć twoją ścieżkę tylko liściami róży wysłaną, życie to walka, niech serce pęknie, niech się przepali od bolu, znieś i wytrwaj, to powinność twoja, wytwałość stanowi człowieka.

Długo trwała jego walka wewnętrzna, wreszcie zwyciężył w nim anioł dobrego; odwrócił oczy od głębi rzeki i patrzał w niebo, myśli jego przechodziły w senne marzenia, czuł ulgę w sercu i ból się zmieniał w tęsknotę.

— Maryo — mówi, jaką tyś mi największą krzywdę zrobiła, żeś ty zapomniała o mnie,żeś dla światowych względów złamała mi wiarę; oddajesz się innemu, on będzie z tobą szczęśliwy, ja bez ciebie nie będę miał szczęścia na świecie!

— A mam pana przecie — krzyczy pani Katarzyna z daleka, zobaczywszy Stanisława siedzącego nad brzegiem — a mówiło mi serce, żeby iść tędy, ja wiedziała, że pana tutaj znajdę, o jak ja się bardzo zmachała, ot człowiek się starzeje, kości słabe nie wytrzymają wiele, tembardziej kiedy się trzeba po całych dniach za wszystkiem uganiać, a nie wiedzieć na co się to komu przyda, ja z niczego nic nie mam, grosz nie dopędzi grosza, co zarobisz, co masz, bierz, nieś na Franciszkańskie i płać żydom procenta; już ja czuję wyraźnie, że ja się tymi żydami powoli zarzynam! no i cóż ja mam począć, albo ja wiem, niech mi tu kto poradzi;

— Moja imość! ja wam nie poradzę, czego mnie imość napastuje, czego właściwie imość chce odemnie?

Pani Katarzyna była oburzona tonem uczynionego jej zapytania.

— Niczego nie chcę od pana, ja od nikogo niczego nie chcę i dajcie mi pokój ze wszystkiem ludzie; pana wyszłam szukać, bo prosiła mnie o to panna, ona taka dobra dla człowieka zawsze, trudno jej nie dogodzić było.

— Jaka panna?

— Ta panna co za pana iść miała.

— Marya?

— A tak!

— Czegoż ona chce odemnie.

— Jużcić czegoś chce, kiedy mnie za panem wysłała. Ona pana kocha.

— Co wy mówicie? bójcie się Boga, kobieto mówcież co wiecie, nie zostawiajcie mnie w niepewności.

— A jak to pan teraz z innego tonu bierze.

Nie odwlekajcie, nie gadajcie o czem innem, tylko mówcie zkąd wiecie, że Marya mnie kocha.

— Wiem, wiem; jakem pierwszą razą do niej to pismo zaniosła co to pan tam napisał o sobie, że pan umarł, tak ci ta panienka z żałości omdlała, chorowała dobre pare niedziel; teraz skoro powiedziałam, że pan żywy, i że pana na własne oczy widziałam, nie chciała uwierzyć z początku, potem kiedy uwierzyła, myślałam, że oszaleje z radości, kiedy potem powiedziałam, że pan wyleciał nad Wisłę i że pan się już może utopić, to mnie zaraz zaczęła wyganiać; a idźcie że no moja kochana, a idźcie że no moja najlepsza, mówiła.

— Marya mnie kocha! byłabyż to prawda?

— Tak prawda, jak że teraz słonko świeci.

— Co wy mi nie mówicie kobieto! jak ja się wam odwdzięczę za to?

— Coby się pan miał odwdzięczać! żeby to były dawne czasy, przedtem jeszcze nim to ja była w areszcie tobym ja od nikogo nic nie potrzebowała, jeszcze bym i komu dać mogła, ja ta i dzisiaj niczego od ludzi nie pragnę, płacę na Franciszkańskie procenta, bo to widzi pan te żydy.....

— Moja najlepsza imość, to mi imość wszystko kiedy indziej opowie, na to będziemy mieli jeszcze dosyć czasu,

teraz mów no imość po co was panna szukać za mną wysłała.

— O nie sama panna wysłała, wysłała i pani, jużcić, aby pan tam zaraz przyszedł.

— Dobrze, dobrze, przyjdę, przyjdę, ale cóż to było z tym hrabią, co mówili wszyscy, że Marya miała iść za niego.

— Co było! także się pan pyta, myśleli wszyscy, że pan umarł, pannie nie było na kogo już czekać, za mąż przecie pójść musi, starą panną nie zostanie, aby potem żyła na strapienie ludzkie, trafiał się pan, no to miała pójść za niego; nie bardzo ona i chciała, mówiła mi Basia, że ją zniewoliła i matka.

Stanisław zadowolił się takiem wytłumaczeniem, poczęło mu się wszystko wyjaśniać, myślał sobie: naturalnie, że na mnie nie było Maryi co czekać, nie chciała matka dopuścić, aby starą panną została, trafiała się przyzwoita partya, chciała więc za mąż ją wydać.

Rozumując w ten sposób Stanisław powracał tą samą drogą, którą przed kilkoma godzinami zrozpaczony przeleciał. Szedł w towarzystwie pani Katarzyny na Pragę w stronę domku otoczonego zielonym ogródkiem, tłukło mu się w piersiach serce, miał za chwilę zobaczyć tę, którą tak bardzo ukochał.

* * *

Jakie było przywitanie Stanisława z Maryą, trudno to tak dokładnie opowiedzieć. Oboje patrzyli na siebie długo; potem bez wielkiego namysłu rzucili się sobie w ramiona, Marya kraśniała jak piwonia, Stanisławowi z ócz wielkie wyzierało szczęście tej chwili czuł się wynagrodzonym za cierpienia, jakie oddalony od Maryi ponosił i za cierpienia całego osieroconego życia.

— Jaki ja szczęśliwy! jaki ja szczęśliwy! — wołał raz poraz.

— Bóg mi cię powrócił Stasieczku, teraz cię już nic nie oderwie odemnie, teraz już będziemy razem — mówiła rozpromieniona szczęściem Marya, a nie spuszczała do ziemi oczów, nie robiła skromnej i zawstydzonej minki i nie kryła się z swoją miłością, długa tęsknica, długie cierpienie, uczyniły tę miłość czystą i wzniosłą, odjęły jej co było ziemskiego, zrobiły ją wyższą nad drobne światowe względy, radzące unikać kochankom scen czułych i trzymające ich zdala od siebie.

Prawdziwa miłość nie jest wstydliwa, rumieni ją jedna radość tylko i nigdy się przed ludźmi nie kryje, owszem, podzielana chciałaby być głośną.

Nad dziećmi stała pani majorowa z wzniesionemi ku niebu oczyma, dziękowała Bogu za szczęście córki, przypominała sobie dawne czasy, niespodziewany powrót nieboszczyka męża z tułactwa, oną radość, jaką wonczas rozpłomieniło się jej serce; zdało jej się, że w córce widzi powtórzenie się tych losów, jakie sama doznała.

— Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci — mówi, stało się podług Jego woli, myślałam, że inaczej się stanie.

Stanisław całował ręce matki Maryi.

— Jestem szczęśliwy — mówi, tem bardziej, że moje szczęście jest niespodziewane, cierpienia doznane uczą je więcej oceniać. Myślałem, że utraciłem Maryę, była przeznaczona komu innemu, zdawało mi się, że i jej serce odwróciło się odemnie, teraz oddana mi jest znowu, teraz już nas nic nie rozłączy ze sobą.

— Tak, i ja czuję, że was teraz nic nie rozłączy więcej, od ciebie, Stasiu, serce Maryi nie odwróciło się nigdy, w niem biła zawsze dla ciebie miłość bez granic widziałam ja to po stawionym przez córkę oporze; myślałam, Stasienku, że ty już w grobie, mnie nie długo na świecie, chciałam się zawczasu dla niej o opiekuna postarać, ty powróciłeś cudownym sposobem, jak ci już raz Maryę oddałam, tak ci ją i teraz oddaję, bądź jej dobrym opiekunem, ona będzie przy tobie szczęśliwa i ty przy niej szczęśliwym być możesz, jej miłość to kwiat najpiękniejszy, co kwitnie tylko dla ciebie. Niech was Bóg weźmie w swoją najświętszą opiekę, z całej duszy błogosławię wam dzieci.

Stanisław i Marya byli wzruszeni, czuli, że za tak serdecznem błogosławieństwem matki i Bóg błogosławić im będzie.

* * *

Na zakończenie mało do powiedzenia zostaje.

Hrabia Artur dowiedziawszy się o powrocie Stanisława złożył natychmiast wizytę pani majorowej i pytał o jej zamiary. Pani majorowa przyjęła go nader grzecznie, powiedziała, że powrót Stanisława zmienia obrót rzeczy zupełnie, że ona matka pragnie tylko szczęścia córki i widzi, że to szczęście jej jeden tylko związek z Stanisławem zapewni. Hrabia zmartwił się istotnie bardzo, miał minę kwaśną i pożegnawszy się z panią majorową i Maryą, nie pokazywał się u nich więcej.

Mówią, że apetytu ze zmartwienia nie postradał, jeździł jak dawniej dorożką, spał dobrze i nie stracił cery. W wyższych kółkach mówiono, że przyszedł do rozumu hrabia i cofnął się od związku z szlachcianką; mówiono, że po nim szlachcianka rozpacza i płacze.

Stanisław nie był bezpiecznym w Warszawie, śledziły go różne podejrzane figury, ale im się umiał szczęśliwie zawsze z rąk wydostać. Na ulicę wychodził z przyprawionemi wąsami i brodą, sprzedał w dobre ręce majątek, kładąc na kontrakcie wcześniejszą o kilkanaście miesięcy datę, wreszcie ożenił się z Maryą i wraz z nią i jej matką wyjechał z Warszawy. Wiemy, że granic Kongresówki nie opuścił nigdy.

Pani Katarzyna nie narzekała na ludzi więcej w ogólności, na żydów w szczególności i na wielką biedę na świecie, gdyż Stanisław pozapłacał wszystkie długi, nie opłaca zatem więcej na Franciszkańskiej procenta. Powodzi jej się teraz nieźle, targuje po kilka złotych na dzień i piją wraz z mężem Mikołajkiem kontuszówkę w niedzielę, ale nie w szynku pod „śledziem.“ Wychodząc z pod „śledzia“ miała awanturę z milicyantem, w skutek której przesiedziała cały miesiąc w areszcie, a tego nie strawiła dotąd.

Pan Mateusz żyje sobie zdrów i jest zawsze w dobrym humorze, jakto na pracowitego szewca przystoi i szyje buty w dnie powszednie; w niedzielę i poniedziałki pije i żałuje, że nie jest kapitanem; jedno mu tylko jego zasłużony spokój zakłóca, oto że biedaczysko musiał schować czamarę do skrzyni, i że się w przymusowy sposób ubiera w kapotę. Między swymi pociesza się zawsze jak może nadzieją i mówi: Bóg da, czasy lepsze dla nas przyjdą, tylko cierpliwości wiara, ho, ho! jeszcze ja w czamarze będę po Warszawie chodził!

Wojtek, nadzieja pani Katarzyny, umie już należycie podzelować buty, jest to chłopak sprytny i jeźli chyba mu co innego w drogę nie zajdzie, będzie z niego jak należy majster.

KONIEC.

ZŁOTE MYŚLI.

Ludzie takich samych zapatrywań wnet się znajdą i zrozumią; pokrewne dusze zdaleka ciągną ku sobie. Jeżeli w towarzystwie, które ma praktyczne korzyści na celu, znajdzie się tylko dwóch łotrów, to zaraz się poznają i połączą, aby knuć zdradę. Tak samo, jeżeli w towarzystwie rozumnych ludzi dwóch głupich się znajdzie, wnet się poznają, zbliżą ku sobie i każdy z nich powie: przecież choć jednego mądrego człowieka tu znalazłem.

Schopenhauer. Afor.

* * *

Niewinność lubi nawet w zwierzęciu szukać podobieństwa ludzkiego, a złość w człowieku tylko zwierzęce własności widzi. Z każdego zwierzęcia trochę człowieka widać, a każdy człowiek dużo ma w sobie zwierzęcości.

Rückert. Mądr. bram.

* * *

Gdy człowiek przyzwyczai się udawać w obec innych, to wreszcie zacznie udawać i wobec siebie.

La Rochef. Maksymy.

* * *

Wszyscy ludzie skarżą się na słabą pamięć, a nikt na słaby rozum.

Tenże.

List z Ameryki.

Mamo! piszę do Ciebie ten list! Czy go czytać
Będziesz? Nie wiem! Czy dojdzie? Nie wiem! Chciałbym spytać
Kwiatka, jak to się u nas wróży listków rwaniem,
Ale kwiaty umarły pod śniegu posłaniem
I o losie tej kartki żaden mi nie powie!
Mamo! jak to okropnie, gdy w słowo po słowie
Kładę serce swe! duszę! ach! całego siebie!
A nie wiem, czy *tak* chociaż powrócę do ciebie!

Mamo! jak to już dawno! jak dawno się zdaje,
Gdym Cię żegnał! Ta chwila jak we mgle mi staje
Przed okiem, zapatrzonem tam, ku naszej stronie!
Widzę twoje rozpacznie wyciągnięte dłonie!
Widzę ruch ten, gdy chciałaś, z bólu obłąkana,
Przed potworem dymiącym runąć na kolana,
I ten wieczór — i słońce gasnące szkarłatnie!
I jękiem rwie mi serce: „Pamiętaj!“ ostatnie!

„Pamiętaj!“ Mamo! ile w tym jednym wyrazie
Jest męki! gdyby wyryć słowo to na głazie
I kazać mu pamiętać: z żalu głazby spękał!
Niema dnia! niema nocy, bym we łzach nie klękał,
Powtarzając „Pamiętaj!“ straszne, jak przekleństwo!
O, matko! jeśliś chciała dać błogosławieństwo,
Bym, żyjąc i konając, nie cierpiał ogromniej,
To było mnie pożegnać, wołając: „Zapomnij!“

Co tu robię? Jak żyję? Nie wiem jak nakreślić,
Że patrząc — nie chcę widzieć! myśląc — nie chcę myśleć!
Że pomiędzy tem wszystkiem, co mnie tu otacza,
A mną — jest dusza moja, która przeinacza
Rzeczywistość — i sprawia, że znużony snami,
Chodzę z niewidomemi, jak ślepiec, oczami
I dzień po dniu przeżywam i chwilkę za chwilką
Tem, co mam wewnątrz siebie! I tak trwam: i tem tylko!...

Ludzie nie są źli tutaj! jest w nich jakaś szczera
Litość. Nieraz chłop prosty tak na mnie spoziera,
Jak ja patrzyłem niegdyś na pisklę bezdomne!
Nieraz, gdy wyjdę z chaty na stepy ogromne,
Zakrwawione od zorzy jaskrawego nieba —
Na progu pieniądz srebrny, albo krążek chleba
Położy jakaś dobra, niewiadoma ręka! —
Jem chleb ten, gdy to piszę — i serce mi pęka!

Znalazłem na dnie kufra twój złoty ołtarzyk,
Tyś go włożyła, mamo! To mój relikwiarzyk!
Schowałem go na sercu i chodzę z nim wszędzie!
Jak Ty przeczułaś, mamo, czem mi tutaj będzie
Ta książka: jakby żywą i drogą osobą!
Po polsku z nią jedynie rozmawiam — i z sobą!
I co dzień na te pustki wielkie, nieskończone,
Idzie moja modlitwa: „Pod Twoją obronę!“

Ach, mamo! jak mi tęskno! A śnię co noc prawie,
Żem w kraju: nasz pokoik widzę jak na jawie!
Staś kłusuje na krześle z pałasikiem w ręku.
Ty, mamo, jak to zwykle szyjesz przy okienku,
A w kącie ja i Zosia gwarzymy oboje. —
Budzę się, ale oczu otworzyć się boję
I chciałbym usnąć jeszcze, by ujrzeć to samo...
Jaki to żal okropny! jaki to żal, mamo!

Mamo! Napisz mi wszystko! Czy tak samo zrana
Gra srebrna sygnaturka u Świętego Jana?
Czy jednako pod zamkiem pluska Wisły fala?
Czy słońce zawsze najpierw płomienie zapala
Na kolumnie Zygmunta, wprost naszego domu?
Czy pieśń z Fary? jak echo dalekiego gromu,
Bijąc w niebo milczące, brzmi po staroświecku?
Pytam jak dziecko małe... odpowiedz, jak dziecku!

Or-ot.

Na puszczy.

Z angielskiego skreślił dla „Pracy“ **Dr. W. Z.**

(Przedruk wzbroniony).

— Palmo! dziecino moja! gdyby cię zapytywać miano, pamiętaj milczeć. Nie mów nic, słyszysz? Nie powinnaś mówić nieprawdy, lecz i prawdy powiedzieć ci nie wolno. Milczeć jest twoim obowiązkiem, Rozumiesz?

— Naturalnie, że rozumiem — odpowiedziało matce dziecko z odcieniem pewnej niecierpliwości w głosie.

Palma była dziesięcioletnią dziewczynką — na swój wiek silnie zbudowanem dzieckiem, zwinnem i giętkiem jak trzcina bambusu — pięknem jak anioły na obrazach Pawła z Werony. Ciemne jej oczy patrzały w świat jasno i bez obawy.

Matka jej Sylwja z pewnem powątpiewaniem spojrzała na córkę; — czuła bowiem, że dopiero co dane polecenie przechodzić może siły tego ślicznego dziecka — dodała więc:

— Pamiętaj, że życie ojca twego jest w twojem ręku!

Palma kiwnęła główką — nie lubiła tracić słów napróżno. Pomyślała tylko, po co powtarzać dwa razy to samo, a w końcu rzekła:

— Jestem małą, ale silną; powinnaś mi więcej ufać, matko! *On* zawsze mi ufał!

On, był to jej ojciec.

Leljusz Dolabella, mąż Sylwji, był młodym adwokatem w mieście Gallarata w Lombardyi. W młodym wieku ożenił się z Sylwją, kobietą cichą, spokojną, nie nadto bystrą, lecz kochającą go całą siłą duszy i serca. Obdarzony niezwykłym darem wymowy, ukochawszy przedewszystkiem swój lud, odczuwał cały ciężar niesprawiedliwości i ucisku lud ten gniotących. Przy każdej nadarzonej sposobności, niekryjąc się ze swem zdaniem, publicznie piętnował włoskie rządy ówczesne, umiejące dużo wyciskać ciężko zapracowanego przez lud grosza na cele wojenne — ale dające bardzo mało na podniesienie oświaty uboższego ludu. Otwarcie głosił, że społeczne stosunki potrzebują naprawy, bo robotnik, dlatego, że jest ubogim, nie powinien być wyzyskiwanym. Leljusz nie był apostołem mordu i bezprawia, anarchii i gwałtu — lecz zawsze wskazywał, że światła, światła więcej potrzeba. Gdy jasny, dźwięczny głos jego się odezwał, ludzie zewsząd się schodzili, by go posłuchać — był ulubieńcem miejscowej ludności, a sława jego jako śmiałego obrońcy praw ludowych szeroko po całej Lombardyi się rozchodziła.

Było to w owym dla Włoch bardzo smutnym czasie, gdy Franciszek Crispi, naśladując inne despotyczne rządy, zaprowadził był wojskowe trybunały, ażeby stłumić każdą myśl szlachetniejszą, mającą wolność i dobro ludu na celu. Policya stała się wszechwładną — więzienia zapełniły się młodymi ludźmi, których całem przestępstwem była chęć zyskania więcej wolności i dobrobytu dla uciskanych i nędzą zgnębionych współziomków.

Śmiałe i otwarte występowanie Leljusza zwróciło nań oczy czujnych stróżów publicznego bezpieczeństwa. Stał się im niewygodnym. Oskarżyć go o podniecanie do walki jednej klasy ludności przeciwko drugiej, było przecież tak łatwo. Postanowiono go zatem uwięzić, ażeby nieszkodliwym uczynić — przez kratę więzienną głos żaden się nie przedziera do licznych słuchaczy.

W rannych godzinach słonecznego dnia wiosennego, gdy właśnie ze swą córeczką Palmą siedział pod starym cyprysem, wdarło się do ogrodu kilkunastu żandarmów — dwóch przyłożyło mu lufy nabitych rewolwerów do skroni — inni skuli

szybko ręce i nogi kajdanami — a mając go już ubezwładnionego, dwóch pozostało przy nim na straży, reszta zaś wpadła do domu, porozbijała szafy i kufry, oderwała podłogi szukając pism zakazanych, wszystko, co się zdawało podejrzanem, zabrano — a w końcu odtrąciwszy brutalnie czepiącą się kolan jego przerażoną Palmę, zawleczono go do policyjnego więzienia.

— Uspokójcie się Sylwio i ty moja mała Palmo, tu jakieś nieporozumienie zachodzi — czuję się niewinnym — najdalej za godzinę znowu będę z wami!

Lecz ani po upływie godziny, ani dnia, ani miesiąca nie powrócił. Przewieziono go do innego miasta, do innej prowincyi, ażeby go stawić przed sąd wojskowy. Pisać do najbliższej rodziny mu zakazano a jeżeli coś o nim posłyszano, to chyba od przyjaciół lub z krótkich wzmianek liberalnej prasy, oburzonej do żywego tym niesłychanym gwałtem.

Dom Leljusza, w którym ciche szczęście dotychczas panowało, opustoszał jak gniazdo ptaka bezwzględną, barbarzyńską dłonią zniszczone. Stary dom miały wprawdzie Sylwia i Palma dla siebie, lecz tego, który był słonecznym promieniem w tym domu naraz zabrakło. Po upływie kilkunastu tygodni próżnego oczekiwania, matka i córka wiedziały już, że krok męża i ojca nie odbije się upragnionem echem na kamiennej posadzce, że serdeczny i dobrotliwy śmiech jego nie ozłoci swą jasnością dni ponuro teraz płynących.

— Przecież ojciec mój nic złego nie uczynił — odezwała się raz mała Palma do starego swego przyjaciela, będącego zarazem jej chrzestnym ojcem.

— Kochał ludzi — groźnie odrzekł dawny żołnierz Garibaldiego, — a to dzisiaj nazywa się zbrodnią.

Sylwia miała trochę zapasowych pieniędzy przeznaczonych obecnie na potrzeby codzienne. Perły i srebra rodzinne sprzedała na opłacenie kosztów prawnej obrony męża — lecz to nie na wiele się przydało, ponieważ oskarżonym odmówiono pomocy cywilnej obrony, dając im obrońców przez trybunał wyznaczonych.

Sylwia i Palma nie były w stanie zdać sobie sprawy z położenia własnego — były jak łania ze swem młodem, patrzące zdala jak jelenia ich opiekuna i obrońcę psy w dali szarpią i ku ziemi tłoczą — lecz nie wiedziały co się w około nich dzieje i co im przyszłość przyniesie.

Sąsiedzi i znajomi nie opuszczali ich wprawdzie, lecz obawiali się okazywać im jawnego współczucia, ażeby samym sobie możliwych nieprzyjemności oszczędzić. Lada okolica ulegała uczuciu strachu i obawy — a było to przy końcu zamierającego przeszłego stulecia w r. 1894.

Wszyscy mieszkańcy Gallaraty dobrze wiedzieli, że Leliusz Dolabella jest zupełnie niewinnym, że żadnego przestępstwa się nie dopuścił, lecz ponieważ oskarżonym był o zdrożną agitacyą, o szerzenie szkodliwych doktryn, o podburzanie klas ludności przeciwko sobie, o zdradę, o spiskowanie potajemne, — zatem okazywanie jemu i jego rodzinie zbyt jawnego współczucia, mogło ich narazić na podejrzenia, na nieproszone przetrząsanie domów, a nawet samowolne uwięzienie.

Zły rząd jest jak jad krążący w oczach żywego organizmu, zatruwając krew i myśl narodu, przeobraża nieraz i najodważniejszych w lękliwe istoty. Jeżeli na każdem publicznem zebraniu oglądać się trzeba czy tajny agent policyjny nie śledzi każdego ruchu i słowa, jeżeli w kole znajomych nie można swobodnie roztrząsać i obmawiać publicznych spraw bez usłyszenia brzęku ostróg i szabli czuwających żandarmów, jeżeli każde swobodniejsze słowo położeniem ręki na ramieniu aresztującego policyanta jest zagrożonem, natenczas człowiek przestaje być samym sobą, zdenerwowanie ogarnia każdego, a jak mówi Jerzy Darian, jeżeli nie zupełnym tchórzem, to w każdym razie stajesz się strachliwą starą babą własnego słowa i cienia się lękającą.

Lecz zawsze i wszędzie w takich stosunkach znajdą się ludzie z siłą przekonań, z odważnem sercem w piersiach, nie pohopni do uginania karku. W obecnych czasach jest już wprost niemożliwem wpajanie ogółowi przekonania, że komu Pan Bóg dał urząd i władzę, temu też dał i rozum potrzebny. Pomimo obawy, zawsze tam gdzieś w głębi żyć będzie idea, że nikomu nie wolno targać się i zabierać samowolnie ludziom ich ojczystego języka, nakładać pęta na religijne przekonania, policyjnemi środkami krępować słowo żywe czy pisane.

W każdym narodzie znajdzie się zawsze pewna odporność przeciw jadowi przez zły rząd w narodowy organizm zaszczepionemu. Tam gdzie policyjna siła swe więzy nakłada, tam ta siła odporna zniewoloną jest przeciwdziałać tajnie, krzepiąc upadających i słabych, pouczając nieświadomych, wypełniając powstałe braki i szczerby.

Leliusz Dolabella ze swem gorącem sercem, siłą przekonania, iż dobrze czyni pracując dla ludu i wśród ludu, należał do owych nielicznych śmiałków wypowiadających otwarcie swe zdania i myśli. W rodzinnem mieście utworzył związek ludzi napozór odważnych i zdających się dzielić jego zapatrywania i nauki. Takich chętnych stronników znalazło się dużo, rozprawiających głośno i zapalczywie, dopóki groźna postać żandarma pomiędzy nimi się nie ukazała. Przysięgano stać wiernie ramię przy ramieniu — nie zdradzać towarzyszów, sam Leliusz upojony zwodniczym blaskiem powodzenia i otoczony zaufaniem i rzekomą wiernością towarzyszy, wygłaszał mowy starannie poprzednio napisane i opracowane — zaprowadzał organizacyą, prowadził spisy i protokuły, mające świadczyć o rozwoju młodego związku. W tradycyi żyła pamięć tajnych związków z czasów Mazziniego — ale — doświadczenia Mazziniego nie było. Leliusz był za młodym i za mało wytrawnym w tym względzie. Zapomniał, że siła związku nie leży w liczbie członków, lecz w ich wyborze — bo dziesięciu silnych i pewnych więcej znaczy, aniżeli pięćdziesięciu słabych. Dziesięciu ludzi z charakterem stanie się pionierami idei, porwie za sobą tłumy — dziesięciu słabych pomiędzy stoma podkopie, zniszczy i zdradzi cały owoc ich pracy. Zapomniał, że w naszych czasach honor i cześć osobista najwięcej ma znaczenia — że proste słowa „niech żyję bez czci i wiary, otoczony pogardą ludzką, jeżeli wasze zaufanie zdradzę“ więcej dziś znaczą, aniżeli uroczyste przysięgi na wszelkie świętości — bo przysięgę usłużny ksiądz zawsze rozwiązać może — lecz utraconej czci i honoru nikt nie powróci, a zdrajca albo życie w upodleniu i wzgardzie, albo kulę skierowaną samobójczą ręką ku własnej skroni, ma do wyboru.

Brak doświadczenia pociągał za sobą lubowanie się w pisaninie, najniebezpiejszejszej w takich razach. Związek, jeżeli ma być tajnym, nie może się opierać na żadnych pisanych statutach i protokułach. Jego celem jest przyszłość, a nie przeszłość na papierze utrwalona, — statuty muszą być jasno i krótko wypisane w sumieniu i w sercach związkowych. Pióro i ołówek za często już odegrały rolę zdrajców i denuncyantów najgorszego rodzaju w sprawch tajnych związków, by je jeszcze za powierników używać miano. Ale Leljusz był nadto młodym, by te najpierwsze i najważniejsze zasady tajnych związków mógł był ocenić należycie, względnie ściśle przestrzegać.

Zabrane u niego i u niektórych towarzyszy papiery i tutaj aż nadto dostarczyły materyału, by go w więzieniu zatrzymać — a pomimo że związek był najniewinniejszym co do celów i dążności, by zbudować cały gmach oskarżenia, oparty na sztucznie skleconych dowodach i domysłach zamierzonej zdrady stanu i anarchistycznych dążności. Jako okoliczność nader obciążającą uważano także, że w swych publicznych przemowach używał zawsze ludowego narzecza, mało zrozumiałego dla przedstawicieli policyjnej władzy.

Niedaleko od Gallaraty rozciągają się znaczne obszary puszczy zarosłej bujną trawą i krzakami kosodrzewiny, którą miejscowa ludność „el brug“ nazywa, a ztąd cała puszcza nazwę *Brughiera* zyskała. Cisza tam panuje niezamącona żadnym ludzkim gwarem — w tych zacisznych przestrzeniach tylko śpiew ptaków i brzęczenie niezliczonych pszczół usłyszeć można — przepełnione zapachem kwiatów powietrze, ogrzane ciepłemi promieniami włoskiego słońca, sprzyja rozwojowi bujnej roślinności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Mąż panny Adeli.

Kartka z pamiętnika.

Kochałam i byłam kochaną od czternastego do czterdziestego trzeciego roku życia, to jest do wczoraj godziny pół do trzeciej po południu...

Czy wiele piękności osławionych Paryża lub Londynu może poszczycić się podobnem szczęściem? I żadnej przez cały przeciąg czasu sprzeczki, żadnych wybuchów zazdrości! Trzydzieści dziewięć lat miłości wzorowej.

Zaczęło się to w sposób następujący:

Mój ojciec, skromny urzędnik pocztowy, należał do rzędu ludzi, którzy nigdy nie dochodzą do wyższego stanowiska, ponieważ każdy otwierający się wakans pospiesza zająć ktoś lepiej protegowany lub mniej niesmiały. Zacny staruszek wegetował w kantonie Sarthe od dnia swego ślubu aż do śmierci.

Tam to w Givry poznałam „mojego męża“.

Przydomkiem tym ochrzciliśmy go odrazu. „Związek“ nasz uchwaliły obie rodziny serdecznie ze sobą zaprzyjaźnione. Wobec rodziców Lucyana, wyżywiających ciężką pracą liczne potomstwo, ja, jako jedynaczka, uchodziłam niemal za dobrą partyę. To też przyjęciem propozycyi Lucyana nie powodował interes. Zresztą w czasie, gdy nasze małżeństwo zostało postanowione, liczyliśmy lat czternaście.

Narzeczony był starszy odemnie zaledwie o pół roku. Rozkosznie schodziły nam spędzane spólnie wakacye. Biegaliśmy swobodnie po polach i łąkach, świat cały uśmiechał się do nas. Całowaliśmy się czasami — były to jednak pieszczoty dziecinne. Lucyan do chwili naszego rozstania zachował naiwność pierwszej młodości.

Liczyłam lat ośmnaście, gdy zdarzył się fakt, mający wpłynąć ostatecznie na mój los. Lucyan otrzymał posadę nadspodziewanie świetną. Zawezwano go na towarzysza podróży młodego Anglika, który pragnął leczyć chroniczny spleen albioński werwą francuską. Zamożna rodzina zamierzała odbyć podróż naokoło świata.

Lucyan, pomimo istotnego zmartwienia, jakiem go przejęło rozstanie z „żoną“, wydał się upojonym myślą zwiedzenia dalekich lądów...

Oczywiście podróż ta miała na celu jedynie wzmocnienie planów miłości. Mówił:

— Skoro tylko zbiorę dostateczną liczbę gwinei, rzucę moich nababów i przyjadę na nasze wesele.

Ile czasu będzie potrzeba na zebranie dostatecznej liczby gwinei? Niewiedzieliśmy. W każdym razie zdawało nam się, iż nastąpi to niebawem, i że czas ten trzeba będzie liczyć co najwyżej na miesiące.

Upajałam się fantastycznemi planami Lucyana. Śmiech łączył się ze łzami w chwili pożegnania...

A wszystko to działo się przed... dwudziestu pięciu laty!

Dwadzieścia pięć lat! Tyle, ile starczy kobiecie przeciętnej dla założenia rodziny, a nieraz dla radowania się drugiem z kolei pokoleniem.

Ja czekałam na małżeństwo, rodzinę, życie przez lat dwadzieścia pięć.

Wiem, że mi nikt nie uwierzy, że uważać mnie będzie za szaloną, mimo to spisuję to wyznanie. A tkwi w niem prawda jaknajszczersza. Przez lat dwadzieścia pięć jedynym celem mojego istnienia, jedynem światłem, które czyniło mi życie miłem, było przeświadcznenie, iż kocham i jestem wzajemnie kochaną.

Los nie pieścił mnie. Straciłam ojca, następnie matkę. Drobny fundusik, który mi pozostawili, przepołowił się z powodu bankructwa kasy przezorności. Pomimo to wszystko byłam pełną otuchy, nadziei, ufności w przyszłość, która miała mi powetować przebyte cierpienia...

I to wszystko bez widzenia się z Lucyanem przez całych lat dwadzieścia pięć.

Tak. Pomimo niewidzenia go. Wierzyłam ślepo w to co mi pisał, bo przez cały ciąg tego czasu otrzymywałam regularnie listy podtrzymujące moje nadzieje, napiętnowane takąż samą przyjaźnią serdeczną jaką ku niemu żywiłam.

Ileż on widział przez ten czas ciekawych krajów! Przebiegał świat cały w towarzystwie rodziny, która wciąż potrzebowała jego opieki.

Nie dawano mu nawet urlopu dla odwiedzenia „ukochanej żoneczki.“

Jego żony! Tak mnie zawsze nazywał w swoich listach. I ja odpowiadałam mu w zamian: „Najdroższy mężu!“

* * *

Wczoraj około drugiej, podczas gdym przegrywała na fortepianie melodye, które „mąż mój“ lubił najlepiej, służąca oznajmiła mi odwiedziny jakiejś damy. Była to dawna przyjaciółka naszej rodziny, która po przebyciu studyów uniwersyteckich zajęła w New-Yorku wybitne stanowisko naukowe. Przybywała do Givry w interesach spadkowych i chętnie opowiadała dawnym znajomym o swojej wielkości.

Gawędziliśmy blizko pół godziny, gdy wtrąciła nawiasowo:

— Ale zapomniałam ci powiedzieć, że spotkałam się na szerokim świecie z dawnym waszym znajomym.

Serce zabiło mi gwałtownie. Zapytałam głosem urywanym:

— Z kimże to?

— Z panem Lucyanem L. Czy przypominasz go sobie jeszcze?

— Tak — wybąknęłam.

— Bardzo ma miłą żonę i śliczne dzieci. Typy prawdziwie francuskie...

Na szczęście rozpoczęła szerokie wywody naukowe na temat małżeństw mięszanych, kojarzących cechy różnych narodowości. Po pewnym czasie zdobyłam się na tyle zimnej krwi, iż głosem niemal naturalnym zadałam jej kilka pytań.

Nie dała się prosić i nie szczędziła mi bolesnych szczegółów. Ożenił się przed dziesięcioma laty z daleką krewną Anglika, któremu towarzyszył. Miał dzieci nie mówiące po francusku. Utył bardzo i wyłysiał zupełnie. Wyglądał na szczęśliwego żonkosia.

Gdym się znalazła sama w mojem „wdowiem“ schronieniu, łzy gorzkie popłynęły mi z oczu. Niebawem jednak otarłam je, nadając sobie nazwę „starej waryatki,“ która żywiła śmieszną wiarę w to, iż mężczyzna może pozostać wiernym wspomnieniu przez lat dwadzieścia pięć!

Co prawda, iż temu właśnie wspomnieniu ja poświęciłam całą młodość, i tę trochę urody, dzięki której mogłam była może znaleść męża...

Zaczęłam pisać do Lucyana w tym tonie. Wyrzucałam mu kłamstwo podstępne, podtrzymywanie niecne złudzeń.

Tak. Ale i dzięki właśnie temu złudzeniu, przeżyłam lat dwadzieścia pięć szczęśliwie. Przez lat dwadzieścia pięć uważałam się za żonę kochającą i kochaną. Jakże by mnie upłynął ten czas bez złudzenia utrzymanego przez Lucyana? A może on to rozumiał. I dla tego właśnie przed dziewięcioma laty nie śmiał napisać: „Kochana Adelo, przestań myśleć o mnie.“

Odwagi! Nie trzeba upadać na duchu! Przez lat dwadzieścia pięć wyobrażałam sobie, że jestem mężatką. Dziś uważać się mogę za wdowę lub rozwódkę....

A przytem, co za myśl... On ma troje dzieci! Gdyby tak napisać do niego list poczciwy, serdeczny, z błagającą prośbą, aby mi przysłał jedno z dzieci, małego chłopca, którego wychowam w mniejszych dostatkach, ale jako dobrego Francuza, władającego językiem, którym on do mnie przemawiał w czasach naszej miłości? Wszak prawda? Lucyan nie odmówi mi tego, a dziecię ukochanego skróci mi drogę, prowadzącą do cmentarza...

Dalej, piszmy do niego. Trochę odwagi i serca dopomaga do zniesienia najsroższej doli. Będę matką, tak, jak byłam żoną — przez imaginacyę.

M. F.

Nie na dzień jeden.

Nie na dzień jeden siejesz swoje ziarno,
Ale na jutra czas nieurodzony:
Więc bez wytchnienia kraj tę ziemię czarną,
By od twych pługów garbate zagony
Zabrzmiały pieśnią zbóż złocistych — gwarną.

Choć nieraz wichry i susze wygarną
Twym krwawym potem wydobyte plony:
Wytrwała praca twa nie będzie marną —
Nie na dzień jeden!

Natura kocha swoją pieśń cmentarną,
Niby małżonka, pieści akwilony,
Od gniewu Djany giną Akteony;
Strasznie jest zwalczać moc elementarną,
Lecz siej — pomimo grad i suszę skwarną —
Nie na dzień jeden.

A. Lange.

Z niedalekiej przyszłości.

(Wesołe uwagi na smutny temat przyjaźni austryacko-pruskiej).

Rzecz dzieje się w rok po szczęśliwie odnowionem przymierzu Austryi z Niemcami. Dworzec kolejowy w Krakowie.

Dzień uroczystości Sedanu. Wszystkie wagony przyozdobione chorągiewkami czarno-białemi. Pociąg wjeżdża do hali przy dźwiękach *„Deutschland, Deutschland über alles"*, a później *„Vaterland muss grösser sein."*

Kilku Polaków, wyjeżdżających do Ameryki w tym celu, aby się znaleść wreszcie wśród społeczeństwa polskiego, odzywa się stłumionem sykaniem. Na to z pociągu wyskakuje dwóch żandarmów pruskich w pełnych uniformach. Dygnitarze ci rzucają się na sykających, związują im ręce i kneblują usta. Wśród otaczających robi się popłoch.

Jeden z odważniejszych Polaków... idzie do bufetu i... każe sobie dać dwa koniaki, które wypija jednym tchem, dla dodania sobie odwagi.

Potem wywiązuje się taka rozmowa:

— Panie Prusak, dlaczego pan dusi tych ludzi.

— Milcz pan! Coś pan wogóle za jeden?

— Ja — — ja — — jestem z Krakowa.

— Ach, *was!* z „Krakofa" — *das giebts ja gar nicht! Heist „Krakau", verstanden?!*

— Rozumiem, panie wachmistrzu.

— No to idź pan do domu, a po polsku na ulicy nie rozmawiaj. To nie wolno.

— Nie wolno? — —

— Jeszcze pan tego nie wiesz? Obowiązkiem każdego obywatela austryackiego jest chwalić naszego cesarza i Pana Boga, płacić podatki, uważać sobie za zaszczyt walczenia w obronie państwa niemieckiego *und Maul halten! Gehen Sie!* weg *Schweinebande!*

Przygnębieni Krakowianie odchodzą ze smutkiem. Kilku pije z rozpaczy przy bufecie *„kirsze"*, inni uczą psy skakać przez kij dla zabicia czasu, niektórzy zaś kupują bilety do Westfalii, do Brazylii lub na Sybir, chcąc się znaleźć pomiędzy samymi Polakami.

Do żandarmów pruskich przystępuje salutując policyant austryacki.

— A co tam? *Was giebts?*

— *Melde gehorsamst*, że aresztowani przestępcy zostali już odwiezieni do kazamatów więziennych na Wawelu.

— *Brav, mein Sohn!* powiem, aby ci dano order „Chińskiego smoka."

Policyant austryacki salutuje, robi półobrot w lewo i odchodzi.

Do pruskiego wachmistrza przystępuje naczelnik stacyi i pyta, czy wolno już puścić pociąg.

— *Wohin?* pyta wachmistrz.

— Do Lwowa! odpowiada zapytany.

— Nie wolno! pociąg ma jechać do Berlina! *Nach Berlin!* Taki jest teraz kurs!

Pociąg rusza w kierunku Berlina.

Tłum intonuje hymn pruski: *„Die Wacht an der Weichsel."*

Obecne na dworcu ekscelencye austryacko-polskie zdejmują z uszanowaniem czapki...

Pociąg znika wśród czarno białych kłębów dymu.

Rrr.

Cechmistrz Melchior Halabarda.

I.

W swej budzie, co bez szwanku,
Od wieków stoi harda,
Ma kuźnię po pradziadach
Pan Melchior Halabarda.

Gra w krzepkich jego żyłach
Mieszczańska krew najczystsza, —
Wnet powie: to personat!
Kto spojrzy na cechmistrza.

Sławetnych wzorem przodków,
Co śpią już pod mogiłą,
Jak wielkie Stare Miasto,
On turzą słynie siłą.

Wspomina nieraz cechmistrz,
Gnąc w garści bretnal twardy,
Jąk cenił August mocny
Pradziada Halabardy.

II.

Znać dumę z twarzy majstra,
Z spojrzenia i z uśmiechu,
Potentat i familiant
Jest starszym swego cechu.

Ma złoto w krzepkiem puzdrze,
Ma srebro w szafie z Gdańska, —
Melchiora Halabardę
Poważa brać mieszczańska.

Z respektem o nim gada
Mąż, dziecko i niewiasta:
„Wszech mieszczan to ozdoba,
To lumen wszego miasta!..."

Najwięksi nawet cenią
Cechmistrza stare imię:
Ksiądz Jacek, proboszcz z Fary,
Ma w wielkiej go estymie.

III.

Rodzina Halabardów
Przoduje innym śmiele,
Ma zacne koligacye
I świetne parantele.

Swiadectwo ich splendoru
Z archiwów miejskich bierzem:
Walenty Halabarda
Królewskim był płatnerzem.

Uprzejmie król jegomość
W pamięci swej go chował,
Nikt miecza tak nie wykuł,
Tak zbroi nie szmelcował.

IV.

W Melchiora kuźni starej
Od świtu idzie praca,
Blask ognia brudne mury,
To krwawi, to ozłaca.

Dmuchają wielkie miechy,
Huk młotów kuźnią wstrząsa,
Sam cechmistrz rej tu wiedzie,
Siwego kręcąc wąsa.

Z podziwu nieraz czeladź
Aż oczy wybałuszy:
Gnie majster grube szyny,
Podkowy krzepkie kruszy.

Żelazne ma muszkuły,
Niedźwiedzie ma on bary,
Jak pradziad z saskich czasów,
Co w garści miął talary.

V.

W swym domie Halabarda
Na górnem mieszka piętrze:
Tam w wązkim alkierzyku
Klejnoty ma najświętsze.

Na zydlu staroświeckim
Przy blasku żółtej świecy,
Siadywać lubi majster
W mieszczańskiej swej skarbnicy.

Dwa wieki, pięć pokoleń
Z alkierza patrzy ściany:
Kolczuga, ryngraf z miedzi,
Kunsztownie malowany.

Hełm, koncerz, miecz niemiecki,
Otłuczon tuż przy gardzie:
Pamiątki po płatnerzu
Walentym Halabardzie...

VI.

Nie dźwięczy w starym domu
Dziecięce szczebiotanie, —
Pan Melchior Halabarda
W bezżennym żyje stanie.

Co wieczór pustka głucha
Z alkierza go wypłasza,
Na miasto sunie cechmistrz
Z podstarszym grać w marjasza.

Tam wielki dzban trojniaku
Nań czeka nieomylnie,
Przy miodzie perły cechu
Gawędzą krotofilnie.

A kiedy zegar antyk
Wskazuje punkt dwunastą,
Pan Melchior chwiejne kroki
Kieruje w Stare Miasto.

VII.

Sześćdziesiąt zim przebiegło
Nad dumną starca głową: —
Nie pora Melchiorowi
Brać panią Melchiorową.

I duma nieraz cechmistrz
W prastarym pustym domu,
Że ojców swych dziedzictwa
Ostawić niema komu!

Dzień kona, z kątów celi
Wypełza mrok wieczora,
Ból krwawy, gniewna rozpacz
Kąsają pierś Melchiora.

I bije łbem o mury,
Aż jęczy ściana twarda,
Ostatni z swego rodu,
Ostatni Halabarda!....

Or-ot.

Teatr.

Po kilku odbytych przedstawieniach talenta nowych artystów występują przed nami już wyraźniej. Zarysowują się coraz dokładniej kierunki i rodzaje uzdolnienia. — I już wiemy dzisiaj, że ta scena nasza, jak przesłego tak i tego roku, odznaczać się nie będzie wielkiemi talentami, — że zato te siły, które są,

połączy sztuka reżyserska pana Rygera w zgodną całość, która będzie umiała znakomicie oddać ducha każdej przedstawionej rzeczy i nie uronić nic z jej właściwości.

Jest to osobliwą umiejętnością p. Rygera, że pod jego reżyserskim kierunkiem pojedyńcze siły dostrajają się tak znakomicie wzajem do siebie a zarazem do kolorytu sztuki, że mimo braku wybitnych sił, całość robi wrażenie wyborne.

W środę odegrano „Śluby panieńskie“ Fredry ze subtelnem oddaniem tej przedziwnej świeżości i pogodnej jowialności Fredrowskiego humoru. — Panie Podgórska i Michnowska były prześlicznemi panienkami z przed lat sześćdziesięciu, — budzącemi się i rwącemi do życia całą siłą serc młodych i dusz świeżych, — rozstrząsającemi już wielką kwestyą „miłości“ i „wierności“, — i składającemi w końcu, jako że prawdziwej miłości nie ma na świecie: śluby dozgonnego panieństwa. — Pomimo to kochają już obiedwie; — i dopiero podstęp i udana zdrada wiernych ich wielbicieli zdradzają tajemnicę pensyonarskich serc. — Obiedwie artystki oddały wszytkie te właściwości charakterów z urokiem i wdziękiem. — Ale może obie panie raczą uzasadnić, dlaczego w sztuce tej od początku do końca wypada mówić najwyższym dyszkantem. — Oczywiście pensyonarki nie mogą przemawiać głosem amazonek, — jednakże też ciągły przesadzenie wysoki ton głosu w końcu nuży. — Głos nastraja się do usposobienia mówiącego i tak zatrwożone panienki przemawiają zwykle cieniutkim głosikiem, — ale Aniela i Klara przecież ciągle nie żyją w zatrwożeniu.

Pan Klimontowicz był doskonałym Gustawem: lekkomyślnym i zakrawającym na urwisa, a w gruncie rzeczy sympatycznym i poczciwym chłopcem, wielbicielem Anieli. — Byłby może jeszcze doskonalszym, gdyby do ról swoich wlewał więcej życia, był mniej powolnym w ruchach i w sposobie mówienia. — Pan Stradiot grał Albina: płaczącego i wzdychającego wiecznie wielbiciala energicznej Klary. Grał bardzo dobrze, tylko jedna uwaga: trzeba pamiętać, że taki Albin mimo swojego rozmazania podobał się młodej i uroczej Klarze, musiał więc mimo wszystko posiadać sympatyczne właściwości, które umieją wzniecić miłość. — Oczywiście jest to niezwykle trudno utrafić ton, któryby łączył dwie pozorne sprzeczności charakteru Albina — ale ton ten odnaleźć trzeba.

W czwartek odegrano „Porwanie Sabinek.“ Mieliśmy sposobność w sztuce tej podziwiać pana Zejdowskiego, który grał starego, poczciwego profesora niemieckiego z małego miasta. P. profesor napisał sztukę: „Porwanie Sabinek“, i dyrektor wędrownej trupy, która na nieszczęście przyjechała do miasteczka, namawia profesora do wystawienia sztuki, oczywiście przez wzgląd na stanowisko profesora bez podania nazwiska autora. — Sztuka przepada i pan profesor jest conajmniej wobec domowników swych strasznie skompromitowany. Wobec świata autor, ukrywający się pod pseudonimem, wyszedł cało, gdyż sprytna pani dyrektorowa widząc, że „Porwanie Sabinek“ pobudza publiczność do obelżywych protestów, po akcie drugim i szybko kazała grać jako ciąg dalszy rzymskiej tragedyi: „Piękną Helenę.“ — P. Berski był pełnym humoru i dobrej myśli dyrektorem trupy.

W sobotę, w komedyi kontuszowej Kraszewskiego „Panie Kochanku“, był p. Ryger wspaniałym magnatem polskim, pełnym buty i książęcej dumy, a zarazem jowialnym i miękkim księciem „Panie Kochanku.“ *Ali.*

Nekrologia.

S. p. ks. dr. Jan Respądek.

Dnia 3-go b. m. wieczorem zmarł senior duchowieństwa wielkopolskiego ś. p. ks. dr. Respądek, proboszcz poniecki, jubilat, dawniejszy profesor seminaryum poznańskiego, długoletni poseł do sejmu pruskiego z okręgu leszczyńskiego. Zmarły był wielkim patryotą, świetnym mówcą, wymownym kaznodzieją, głębokim myślicielem i znakomitym znawcą dziejów ojczystych. S. p. ks. Respądek zmarł w przeddzień półwiekowego jubileuszu duszpasterstwa, przeżywszy lat 84. Cześć pamięci zacnego kapłana-patryoty!

Do powyższych słów nawięzujemy następujące wierszowane wspomnienie pośmiertne:

Cieniom

ś. p. Ks. Prof. Jana Respądka.

Dlaczego smutno dziś w murach Ponieca?
Czemu dzwon śmierci wszystkie wzrusza [stany?
Kogoż to strata tak żal nasz podnieca?
Ach! bo zgasł Kapłan i Proboszcz kochany...

Umarł nasz Pasterz! który długie lata,
Bo czterdzieści sześć, przebywał tu z nami;
Który w nas każdym widział siostrę, brata,
Żżył się w miłości z parafianami! —

Umarł nasz Ojciec! który umiał w dzieci,
Wlać swego ducha męztwa, gorliwości,
I jak słup jasny, co wśród gromów świeci,
Wiódł je przykładem w wyżyny wie- [czności!

Zgasł Dobroczyńca! który dłońmi Swemi,
Usuwał nędzy i rozpaczy szczątki;
Który parafii darami licznemi
Zostawił piękne po sobie pamiątki!

Umarł! lecz żyją piękne ideały,
Przykłady, cnoty Respądka drogiego!...
One żyć będą przez nasz żywot cały —
Bo one „zniczem“ narodu naszego!

Ach! Boże, Ojcze! na wysokiem niebie,
Usłysz te jęki i głos nasz serdeczny;
Racz dać Polakom łaski, sił w potrzebie...
A duszy Jana odpoczynek wieczny!

Bolesław Laurentowski,
Poniec, 7. X. 1901. *organista.*

* * *

S. p. Aniela Speichert,

znana i szanowana w Poznaniu nauczycielka, zmarła nagle dnia 4-go b. m. w nocy w Obornikach na paraliż serca. Przez 30 lat oddawała się mozolnemu swemu zawodowi tem gorliwiej, że była jedną z dwóch ostatnich Polek nauczycielek przy miejskich szkołach. Mogła była żyć wygodnie i spokojnie, a jednak przekładała życie obowiązkowe dla dobra dziatwy polskiej. To też żal pozostawia po sobie nie tylko wśród rodzeństwa, lecz wśród wszystkich, którzy ją znali i cenić umieli. Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie!

* * *

S. p. Jadwiga z Pomian Łubieńskich Ponikiewska

zakończyła żywot doczesny w majątku swoim Wiśniewie. Była to kobieta gorącej wiary i wielka patryotka. Czytelnicy „Pracy“ przyjmą z pewnością z żalem tę wiadomość, zważywszy, iż nie tak dawno z sympatyą śledzili przebieg procesu, który Zmarła miała o przyjęcie Najprzewielebniejszego X. Arcypasterza. R. i. p.!

Czytelnicy, zależy, czy pomysł ten przerodzi się w nową, skuteczną dźwignię polskości.

A więc — czynnego poparcia jak najwięcej!

Redakcya.

Wiadomości.

— **Pana Józefa Chociszewskiego** sąd gnieźnieński skazał na 30 marek kary i koszta za to, że na kartach pocztowych z rycinami, przez niego wydanych, nie znajdowała się firma drukarni, w której je drukowano. Areszt na karty nałożony zniesiono.

— **Dr. Kapuściński** mieszka obecnie przy ul. Teatralnej nr. 6.

— **Bank** Parcelacyjny w Poznaniu na **Piekarach nr. 18** prosi swoich interesentów bardzo, aby listy i wszelkie przesyłki dla uniknienia kwarantanny adresowali w następujących 3-ch słowach: **Bank Parcelacyjny** Posen, bo liczne zażalenia jego do najwyższej instancyi były bezowocowe, a interes wymaga przecież szybkiego załatwienia spraw. Wyniki procesowe przeciw poczcie podamy po ukończeniu procesów do wiadomości na tej samej drodze.

— **Zwracamy** uwagę na anons polskiej firmy „Globus“, składu papieru, materyałów piśmiennych i tapet — w Poznaniu, ul. Szeroka nr. 6., który polecamy łaskawym względom Szan. Publiczności.

— **Obuwie** wszelkiego gatunku sprzedaje jak najtaniej p. St. Kruk, przy ulicy Kramarskiej 10 naprzeciw wdowy Szerek.

— **Pani A. Depczyńska** zaopatrzyła skład swój płaszczy i kapeluszy damskich przy ulicy Jezuickiej 12 w wielki wybór wszelkich nowości.

— **Pan Sylw. Grupiński** w Wronkach poleca skład zegarków, biżuteryi złotej i srebrnej oraz instrumentów optycznych. W warsztacie uskuteczniają się wszelkie reparacye.

— **Pan St. Krzyżan,** zegarmistrz z Opalenicy, poleca skład zegarków i łańcuszków, oraz zawodowy zakład reparacyjny.

— **Pan Roman Ludwik** przejął w dniu 1-ym b. m na własność interes kolonialny, łakoci i win w Bydgoszczy przy placu Fryderykowskim 3 od p. A. Stachowskiego. Pan Ludwik prowadzi interes ten pod własną firmą. Na przedsiębiorstwo to rodaka zwracamy uwagę Szanownej Publiczności i życzymy mu wszelkiej pomyślności.

— **Fabryka** papierosów rosyjskich w Brodnicy, w Prusach Zachodnich (Strasburg W. P.) pod firmą „Orianda“ poleca znakomite papierosy z najwyborniejszych rosyjskich tytoni. Właścicielem fabryki jest rodak p Stefan Stawiński, którego polecamy względom Czytelników naszych.

— **Dr. Pachel w Dreźnie** przysposabia młodzież do abituryenckiego egzaminu i do jednorocznej służby. Na odnośny anons zwracamy baczną uwagę.

— **Rodakom na obczyźnie** — w Dortmundzie i okolicy — polecamy handel kolonialny win, wódek, herbaty itd. pod firmą „M. Bierwagen“ w Dortmundzie przy Münsterstrasse 12 blizko kościoła św. Józefa.

— **Księgarnią,** skład nut, dewocyonaliów i materyałów piśmiennych pod firmą „A. Prądzyński“ otworzył z dniem 6-ym października p. Andrzej Prądzyński we Wrześni. Pan P. rozporządzając dostatecznym kapitałem oraz wsparty doświadczeniem 15-letniej praktyki w firmach pp. J. B. Lange w Gnieźnie, Seyfert & Czajkowski we Lwowie, a ostatnio w księgarni „Dziennika Kujawskiego“ w Inowrocławiu, sprosta najzupełniej swemu zadaniu.

P. P. ma także agenturę „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“. Szczęść Boże rodakowi!

— **Rywałd** (Prusy Zachodnie). W kościele parafialnym w Rywałdzie pobłogosławionym został dnia 30 września związek małżeński pomiędzy panną Michaliną Załuską, najmłodszą córką pp. Józefostwa Załuskich z Rywałdu, a p. Teofilem Rochonem, kupcem z Chełmży, synem pp. Józefostwa Rochonów z Gołkówka. — Niech nam żyje para młoda! Szczęść jej Boże!

— **Król. Huta.** (Górny Slązk). W zeszły wtorek otwarty został nowy, siódmy z rzędu na Slązku Górnym, polski Bank ludowy w Królewskiej Hucie. Szczęść Boże!

— **Ilmenau** (Turyngia). Wszelkich bliższych wiadomości, tyczących się wyższego turyngskiego technicznego zakładu naukowego w mieście naszem i stosunków życiowych, udziela chętnie „Czytelnia Polska w Ilmenau“. Adres: „Polnisches Lesezimmer, Ilmenau, Neuhaus.“

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Koło śpiewackie** „im. Chopina“ w Dreznie. Niniejszem mamy zaszczyt zaprosić W. P. na obchód naszej rocznicy założenia Tow. naszego. W dniu **20-tym października r. b.,** a nie w dniu 20-tym listopada na sali hotelu „Stadt Petersburg“ Neumarkt, an der Frauenkirche odbędzie się koncert z łaskawym udziałem koncertowej śpiewaczki panny Heleny Dutkiewiczówny. Początek o godz. pół do 8-ej punktualnie.

Po koncercie zabawa z tańcami.

Biletów można nabyć w lokalu zabawy i u prezesa K. Poszwińskiego Luisenstr.

Zarząd.

Od Redakcyi.

Listy wysłaliśmy pp. A. Spier, Urb. Gatner, Karol Pazdzior, K. Kowol, o czem, dla kontroli poczty, nadmieniamy na tem miejscu. Również wysłano listy: Wincenty Mondrzyk, Piotr Wacławski, Dr. Kłobukowski.

P. Marya Bajer. — Składkę taką wraz z opisem losu biednego chłopca należy wysłać do Redakcyi „Gońca Wielkopolskiego“ w Poznaniu.

Towarzystwom polskim w Ameryce. — Pismo nasze jest tak tanie, że ani zniżki, ani bezpłatnych egzemplarzy nie udzielamy wcale. Za słowa zachęty i uznania dzięki.

Panu Leonowi Tomaszewskiemu w Marxloh nad Renem. — W księgarni Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin.

Pani Maryi z Kr. S. w Gnieźnie. — Wiersza p. t. „Wrażenia z Gniezna“ ze względów prasowych zamieścić nie możemy.

PP. I. Nowaczyka Pawłowice, Czerwińskiego Krajkowo, Kulczyckiego i Sadowskiego w Bochni Galicya. Prosimy o nadesłanie kwitów pocztowych a początki powieści nadeślemy.

P. Kolaczek Witkowice, Morawa.. Kwartalnik I „Czytelni Polskiej.“ z b. r. wyczerpany.

Humorystyka.

Co kto stworzył?

Gadka ludowa.

Chodzi gadka ludowa między naszym ludem,
Że gdy w siedem dni Pan Bóg świat ten stworzył cudem,
By się zbyt nie nudziły kamienie, rośliny,
Stworzył żywe istoty i puścił w doliny.
A Bóg — mądrość najwyższa i dobro odwieczne,
Stworzył same istoty dobre, pożyteczne.
I tak stworzył ze zwierząt: psa, barana, konia,
Łosia, żubra, jelenia, wielbłąda i słonia.
Z mniejszych: sarnę, kozicę, antylopę, dzika,
Rena, lamę i zebu, zająca, królika.
A zaś z ptaków: łabędzie, kury i indyki,
Gęsi, kaczki, przepiórki, kuropatwy, kszyki.
Z owadów idzie: mrówka, pracowica szczera
I pszczoła, która z kwiatów same miody zbiera.
Takie to było ziemi zaludnienie całe,
Wszystko tam pożyteczne, dobre, doskonałe.
Widząc tedy, że wszystko to w porządku czeka,
Pan Bóg wówczas dopiero jął tworzyć człowieka.
Potomkom jego różne barwy były dane:
Twarze białe, brunatne, czarne i miedziane.
Tak to stworzył: Anglika, Franka, Rzymianina,
Murzyna, Turka, Greka, Polaka, Rusina.
Ale dyabeł, co z niebem w wiecznej bywa wojnie,
Nie mógł już w swojem piekle dosiedzieć spokojnie,
Aż zazgrzytał z zazdrości — i pełen ochoty,
By popsuć dzieło boskie — wziął się do roboty.
Stworzył zaraz: tygrysa, żbika, rysia, wilka,
Między tamte zwierzęta, puścił ich sztuk kilka.
I ród ptasi też pragnął w ten sposób poprawić,
By silniejszy słabszego nauczył się dławić.
Więc stworzył: gołębiarza, wronę i srokacza,
Kruka, srokę, krogulca, bociana, puchacza.
A w owadach i płazach chcąc przyjemność sprawić,
Tworzeniem miłych istot też się zaczął bawić
Stworzył żmiję, skorpiona dla tamtych zniszczenia,
Muchę, pchłę i komara, osę i szerszenia.
Lecz chciał ludziom dokuczyć — bo mu nie dość tego,
A nie wiedział co stworzyć im dość potwornego.
I namyślał się długo — bo w nim złości już taczkę!
Myśl mu przyszła... więc stworzył:...
H. K. T. — łajdaczkę.

„Ł.“

Z sądu.

W tych dniach rozstrzygała się w jednym z sądów ławniczych niezmiernie ciekawa sprawa. Pan Schweinfurt domagał się kary na pana K. za wypisanie przy adresowaniu pierwszej połowy jego nazwiska Schwein grubszemi literami. Sąd oskarżonego uniewinnił, ale pan K., aby nadal nie robić przykrości panu Schweinfurtowi postanowił przy adresowaniu pierwszą połówkę zupełnie opuszczać. Czy jednak pan K. wyświadczy tem przysługę panu Schweinfurtowi — jest ogromnie wątpliwa kwestya.

Bo pewnikiem jest niezbitym
I wie każdy o tem przecie,
Że Schweinfurta nikt nie pozna,
Gdy mu Schwein odejmiecie.

Dobra pani majstrowa.

— Ależ głodny jestem, pani majstrowa, gwożdzie bym jadł.

— Idźże do warsztatu i weż sobie, ale nie dużo, żeby majster nie poznał.

Nieprzewidziany skutek.

Młody lekarz (do służącego): — Czy umieściłeś we wczorajszych dziennikach, że po powrocie z podróży, znowu przyjmuję chorych?

— Rozumie się — przecież dziś rano przyniesiono aż sześć rachunków do zapłacenia!

Agentury
„Pracy" i Czytelni Polskiej"

W. Ks. Poznańskie.

Miasto Poznań.

Berlińska ul. 12 p. Lisiewicz.
Bismarka ul. 6 p. Mazurkiewicz.
Bramkowa 6 p. M. Szymański, destylacya.
Fryderykowska 19 p. A. Depczyńska, handel kolonialny.
Garbary Wielkie 51 p. Lewandowski.
„ *Małe 4* p. Dąbrowski.
Kopernika 10 p. K. Cichocka.
Piekary 22 p. E. Milich, skład tow. kolonialnych.
Półwiejska 11/12 p. Kl. Jeszka, skład tow. kolonialnych.
Półwiejska 6 p. Ed. Krug, Syn.
Stary Rynek 53/54 Księgarnia Katolicka.
„ „ *35* pod ratuszem p. F. Turowski.
Strzelecka 14 p. Franciszek Czternasty, portier fabryki Cegielskiego.
Strzelecka 23/24 p. Iłowiecka.
Św. Marcin 10 Księgarnia A. Cybulskiego
„ „ *41* p. W. Lamperski.
Św. Wojciech 3 p. Langner.
„ „ *26/27* p. A. Rybka, handel wiktuałów.
Wilhelmowski plac 14 Firma W. Becker, skład delikatesów.
Wilhelmowska ul. 8 księgarnia p. I. Leitgebra.
Wilhelmowska ul. 17a p. C. Sokołowska, handel kolonialny.
Wodna 1 p. Ignasiak.
„ 25 p. M. Flieger.
Wrocławska 29 p. Stefan Chociszewski, skład cygar.
Wrocławska 36 p. Szulc.
Wroniecka 6 p. Gackowski u p. Kantorowicza.
Żydowska 30 p. Wojciech Kaczmarek.

Chwaliszewo.

Chwaliszewo 1 p. Łaganowski
„ *18* p. Radomski
„ *35* p. Wybieralski
„ *67* p. Koltermann, skł. mąki
„ *69* p. Zieliński, drogerya
Wenecka 16 p. Bolesław Szczerkowski

Śródka.

Śródka rynek 1 p. Fischbach
Warszawska 5 p. Kałużny.

Jerzyce.

Berlińska 54 p. Chmielewski
„ *65* p. Lewandowski
Cesarza Fryderyka 16 p. W. Czyżykowska
„ *Wilhelma 28* p. K. Wagner
Jadwigi 14 p. K. Buchowski
„ *30* p. Śniegocki
Moltkego 22 p. Winkler
Poznańska 29 p. Mitulska
Średnia 12 p. Dolacki.

Św. Łazarz.

Głogowska 77 p. Kaczmarek
Parkowa 11 p. J. Rażny
Św. Łazarza 3 p. Ziółkowska
„ *41* p. Skowroński.

Wilda.

Małgorzaty 2 p. M. Andrzejewski.
Następcy tronu 35 p. M. Sarna, skł. wikt.
„ *99* p. J. Kamiński.
Strumykowa 1 p. Sroczyński.

Żegrze.

P. J. Sobecki, balwierz.

Na prowincyi.

Bydgoszcz, księgarnia p. L. Neumanna, ul. Fryderykowska 1.
Gniezno, p. Roman Majerowicz, ul. Trzemeszeńska.
Grodzisk, p. W. Aleksandrowicz.
Inowrocław, księgarnia p. Kompfa, ul. Fryderykowska 5.
Mogilno, p. Fr. Wiśniewski.
Ostrów księgarnia W. Leitgebra.
Przement, p. B. Wojciechowski, organista.
Śmigiel, p. A. Wojciechowski, organista.
Śrem, p. C. Wojciechowski, handel papieru.
Wągrówiec, p. Samoliński, handel cygar „Havana".
Wolsztyn, p. Roman Szczerkowski.
Września, p. Starkiewicz, handel cygar.

Prusy Zachodnie:

Czersk, p. Leon Zynda, księgarnia.
Pr. Starogard, p. Nowak, księgarnia.
Toruń, p. K. Zabłocki, księgarnia.

Górny Śląsk:

Bogucice, p. Franciszek Marcol i p. Paweł Sus.
Brzeście, p. Miserau, p. Józef Lazar.
Dorota, p. Zabrze p. Michał Blachut, ul. Polna 6.
Gliwice, p. Jasiczek, księgarnia.
Godullahütte p. Morgenroth, p. Michał Bromma.
Janów, przy Mysłowicach p. A. Spiera.
Katowice, p. Antoni Stoc, księgarnia katolicka.
Królewska Huta, p. A. Komendziński, księgarnia i p. J. Mateja, ul. Puddlera nr. 30.
Kokociniec p. Idaweiche, p. Paweł Schwedt.
Mikucice, p. Józef Sieradzon.
Mała Dąbrówka przy Katowicach, pan Franciszek Wyroda.
Opole, ekspedycya „Gazety Opolskiej"
Pyskowice, p. Feliks Orlicki
Rozbark, p. Bytom p. Głazowski, księgarnia
Rożdzień, p. Franciszek Richter w domu p. Walitza naprzeciw kościoła farnego i p. Jan Badura, ul. Bogufała 10.

Obczyzna:

Altenessen p. Walenty Nowak, Heinrichstrasse 40|41.
Batenbrock p. Botropp, Westfalia p. Karol Kocur, Bez. III Nr. 5.
Baukau p. Herne, Westf. p. M. Wojciekiewicz, Kraugestr. 48,
Bernburg, p. Józef Spychalski, Rosinenberg;
Bochum, Westf. p. Ignacy Kwaśniewski, Friedrichplatz 2.
Botropp, Westf., p. Ludwik Procek.
Bremena p. Jan Marcinczak, Stefensweg 98 II.
Bruch p. Recklinghausen, p. Ludwik Kubiaczyk, Marienstr. 346 przy kościele katolickim.
Dellwig p. Jan Swoboda, Rollstr. 10.
Habinghorst przy Dortmundzie, p. Marcin Jarczyński, ul. Fryderykowska 10.
Hörde II., p. Antoni Strojnowski, Bickernst. 18.
Lüssum p. Blumenthal, i. H. p. A. Kotowski.
Ueckendorf (Westfalia), p. Stanisław Kunz Bochumerstr. 40.
Misburg przy Hanowerze, p. Michał Maciejewski Nr. 114.
Neumühl Nadrenia, p. Franciszek Rostkowski Bergmannstr. 11 a.
Wanne, Westfalia, p. Franciszek Mańkowski, Bahnhofstr. 98.

Galicya.

Biała, pp. Kubaczka & Lang, księgarnia.
Kraków, księgarnia p. D. Friedleina i p. S. A. Krzyżanowskiego.
Rzeszów, p. J. A. Pelar, księgarnia.
Sanok, p. K. Pollak, księgarnia.
Stanisławów, p. Jasielski & Sp.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy" **Wincenty Szmytkowski.**

Skład papieru materyałów piśmiennych i tapet

„Globus“

P. Steinmetz.

Poznań ulica Szeroka nr. 6.

poleca

materyały piśmienne, biórowe i tapet

po cenach jaknajtańszych. 722

Druki wszelkiego rodzaju wykonuje spiesznie, gustownie i tanio.

Wielki skład książek handlowych i gospodarczych.

Destylacya

z bardzo dobrze zaprowadzonym wyszynkiem wódek jest każdego czasu do nabycia. Do przejęcia potrzebny kapitał 8—10 tysięcy marek.

Zgłoszenia przyjmuje

W. Formański,

skład piwa, 690

Inowrocław, ulica Poznańska.

M. Bierwagen,

Dortmund,

Münsterstr. 72, blisko kościoła św. Józefa

poleca swym rodakom tutaj na obczyźnie w Dortmundzie i okolicy **handel kolonialny, win, wódek, koniaków, cygar, herbaty, kawy palonej** od 75 fen. za funt aż do 1,80 m., **masło, chleb, ciastka** itd. **Wódkę polską** skuteczną na żołądek, apetyt itd., wódkę sławną doktora Müllera. Dla odsprzedających karmelki różne jak najtaniej. Kupujcie u swego, a nie zawiedziecie się.

712 Z szacunkiem

M. Bierwagen.

Obstalunki na druki, papiery, karty z widokami polskiemi itd.

Uczniów opóźnionych

sposobimy intensywnie i dokładnie do abiturenckiego egzaminu i jednorocznej służby wojskowej. — Nauka religi w języku ojczystym. — Także wykład języka ojczystego i literatury i dziejów ojczystych.

Przenieśliśmy zakład z Wrocławia do Drezna w zdrowe i piękne miejsce. Zgłoszenia przyjmuje

Dresden — Löbtau, Wilsdrufferst. 32 I.

710 **Dr. Pachel.**

Do mego interesu zegarmistrzowskiego włącznie instrum. muzykalnych znajdującego się w najlepszem miejscu większego miasta powiatowego, gdzie jest gimnazyum i kolej poszukuje się celem powiększenia takowego

spòlnika

z kapitałem 3000 marek. Interes prowadzi się dłuższe lata z bardzo dobrem powodzeniem.

Łaskawe zgłoszenia uprasza się pod nr. 696 do Ekspedycyi „Pracy“. 696

Handel kolonialny i cygar

z sprzedażą alkoholów w flaszkach

w najlepszem położeniu, narożnik najgłówniejszej ulicy przyłączonej dzielnicy Poznania pod bardzo korzystnemi warunkami z powodu śmierci od ile możności zaraz do objęcia.

Oferty uprasza się pod lit. F. S. do eksped. „Pracy“ w Poznaniu.

Wdowa po doktorze. Cóż Anusiu, wyszłaś za mąż? Słyszałam, że nieszczęśliwie, podobno za szewca?

Sługa. Co miałam robić, proszę pani. Zawsze lepszy żywy szewc, niż nieboszczyk doktór.

Jako **najlepszą książkę do gotowania** p. t.

Kuchnia polska

w oprawie 2,50 mr.

franko za tom za nadesłaniem należytości (w znaczkach poczt.) wysyła 504

Ernst Lambeck Thorn.

Tanio do nabycia:

2 *Młockarnie* 18 i 20 cali szerokie, jedna kolcowa, druga cepowa. 643

2 *parowniki* do przewracania.

2 *Tryery* z cylindrami niżej ceny fabrycznej.

Zgłosz. do **J. Popławskiego,** św. Marcin 64. Skład maszyn do szycia i welocypedów.

Pisanie maszyną, stenografia, buchalterya.

Wstęp każd. czasu — na prowincye polecam moją t. z. **listową buchalteryą.**

Prospekt **gratis** — (nowy kurs 2. 10. r. b.) 590

F. Mellin,

naucz. hand. W. Garb. 14 I.

Zdolny personal do kantoru polecam WPP. każd. czasu.

Karty okrętowe

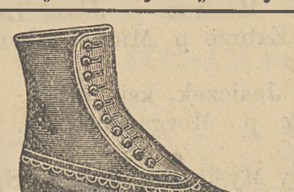
z Hamburga do Ameryki i Brazylii itd.

poleca 353

Adam Spektorek

w Chodzieżu (Kolmar i Pr.).

Kto karty okrętowe u mnie kupuje, jedzie pod opieką stowarzyszenia katolickiego św. Rafaela, przez co ochroni się od każdej moralnej i materyalnej straty.



720

Obuwie Kalosze Bambosze

sprzedaje najtaniej

St. Kruk.

Kramarska 10,

naprz. wdowy Scherek.

Napisane przez

Annę Hein,

dawn. wyższą akuszerkę przy położniczej klinice w król. Charité w Berlinie

„Frauenschatz“

(Skarb dla kobiet)

wys. za 50 f. w. mark. poczt. dom wys. art. hyg. pani AnnyHein, Berlin S. 151, Oranienstr. Nr. 65

642

Farbiarnia

i chemiczna pralnia

Dr. A. Seydy

(dawn. Gustaw Schaer)

w Poznaniu.

Fabryka Poznań W. 6, ul. Forteczna 39.

Skład św. Marcin 14,

poleca się do chemicznego czyszczenia i farbowania wszelkiej odzieży prutej lub też w całości, oraz do prania pluszów, aksamitów i piór, portyer i t. d. 558

J. K. Jasielski

adwokat ludowy

(pozasł. aktuaryusz sądowy)

w Poznaniu,

Stary Rynek 88 II ptr.

spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

Ucznia

z dobrem wychowaniem i wiadomościami szkolnemi od zaraz.

Pomocnika

od 15-go b. m. przyjmie **cukiernia**

M. Kamińskiego

w Mogilnie. 723

Udzielam

lekcyi muzyki

na fortepianie

po cenach przystępnych.

Łaskawe zgłoszenia przyjmuje przy ulicy Bramkowej nr. 9 parter.

St. Kamieńska.

Skład korzenny i drogeryjny i krótkich towarów

na jednem z przedmieść w Poznaniu jest każdego czasu do sprzedania. 695

Łaskawe oferty do Eksped. „Pracy“ pod lit. W. nr. 695.

Zakład

pracy domowej

w Śremie (Schrimm)

rozpoczyna nowy kurs 23-go października.

Prospekt na życzenie przeseła 698

F. Szczerbińska,

przełożona.

Kram

z przyległem pomieszkaniem przy rynku **w Kruszwicy,** bardzo odpowiedni dla zegarmistrza, któryby tutaj dobrą egzystencyą znalazł, jak i do innego interesu zdatny, jest od każdego czasu do wynajęcia. 692

Helena Dankowska.

---

2 chłopców

uczciwych rodziców znajdą miejsce w zakładzie dentystycznym

Jana Kozłowskiego

w Gnieźnie. 764

Kto

dostawić może

ser w gomułkach lub twaróg i w jakiej ilości.

Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. T. nr. 714. 714

Idealistom: Początek w powietrzu, koniec w błocie; taki marzeń zwykły skutek.

Poszukujemy od zaraz

2 biegłych

pomocników

do naszego handlu bławatnego.

Adolf Bonin i Sp.

Czersk. 715

Szuka się dzierżawy

wyszynku

lub połączony

z handlem kolonialnym

od każdego czasu w mniejszem mieście.

Zgłoszenia uprasza się nadesłać do eksped. „Pracy“ pod lit. A. B. nr. 716. 716

Gimnazyastów

przyjmuje na stancyą pod nader korzystnemi warunkami. Blisko gimnazyum.

Kamieński,

ulica Bramkowa nr. 9

parter.

Nasze dzieci.

Pani Iza opowiada swej przyjaciółce kłopoty i trudy dnia gospodarczego.

— Ach, nie uwierzy pani, ile zajęcia przed wyjazdem na wieś!.... Wczoraj był tapicer, froter, z pięciu chłopców z magazynu — w dodatku krawcowa i kapeluszniczka!

A na to wtrąca się mała Jadzia:

— Aa... aa... mamusia zapomniała jeście jednego...

— Kogóż, dziecko?

— Aa... aa... był jeście pan komolnik!

Dr. Kapuściński

mieszka obecnie przy 707

Teatralnej ul. nr. 6.

Darmo

daje recepty do fabrykacyi sztucznych win! 14

A. Szmytkowski

Pniewy (Pinne, Pr. Posen).

Destylacya i fabryka likierów

poleca po nizkich cenach

Jubileuszówkę

wyborną wódkę deserową, odznaczoną na wystawie w Bordeaux i na wystawie hygienicznej w Poznaniu złotym medalem, oraz wszelkie inne wyroby moje, jako to znakomite

nalewki, wódki gdańskie, żołądkowe, alpejską,

także prawdziwe

araki, rumy i francuzkie koniaki.

Srogi mąż.

— Co widzę! Moja żona z tym młokosem pod rękę?! Całe ich szczęście, że się spieszę na winta, gdyż inaczej mieliby się z pyszna!



Wielki wybór.

Mój od kilkunastu lat istniejący

handel stroji i płaszczy damskich

zaopatrzyłam na sezon jesienny i zimowy w wszelkie nowości.

Peleryny, płaszcze watowane, kabaty dla pań, panienek i dzieci.

Jak również wielki wybór

kapeluszy

ubranych i nieubranych i wszelkie w zakres wchodzące artykuły.

Futrzane czapeczki, boa i mufy. 709

A. Depczyńska,

Skład płaszczy i kapeluszy damskich.

Jezuicka ulica nr. 12.

Ceny jak najtańsze.

Kawaler górnik, 27 lat mający, mieszkający trzy lata w Dortmundzie posiadający pewne utrzymanie i majątek szuka dla braku znajomości na tej drodze

ŻONY,

panny w odpowiednim wieku. Najchętniej życzy sobie, aby niewiasta była zdolną do interesu handlu korzennego lub podobnego. Rodzice lub opiekuni młodych panien, którym na tem zależy, ażeby córkę swą za człowieka nieposzlakowanego charakteru i jak najlepszej opinii wydać zechcą łaskawe oferty pod lit. **JJ. nr. 713** do ekspedycyi „Pracy“ nadesłać. Ręczy się słowem honoru i żąda się nawzajem jak największej dyskrecyi. Na anonimy się nie odpowiada. 713

Wydawnictwo „Pracy“ w Poznaniu,

ul. Rycerska 38

poleca następujące piękne powieści

po cenie zniżonej, a mianowicie:

1. ***Listopad,*** romans historyczny z drugiej połowy XIII-go wieku, przez Henryka Rzewuskiego.

3 tomy (300 stron) **tylko 75 fen.**

Henryk Rzewuski jest jednym z najznakomitszych powieściopisarzy naszego stulecia. Powieści jego pochłaniane były przez współczesnych z tą gorączkową ciekawością, jaką tylko niepospolite talenty wzbudzić umieją. I z taką samą ciekawością będą czytywane i dziś wszelkie dzieła Rzewuskiego, z pośród których mianowicie romans historyczny „Listopad“ za perłę powieściopisarstwa naszego uchodzi. Polecamy więc powieść tę sumiennie, gdyż każdego ona zajmie.

Pragnąc zaś uprzystępnić każdemu nabycie tej obszernej a tak rzadko pięknym językiem barwnie napisanej powieści, oddajemy ***wszystkie 3 tomy*** (300 stron) za 75 fenyg., a więc ***za bezcen.***

2. ***Krwawy Chrzest,*** powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach przez J. Dzierzkowskiego.

przeszło 300 stron **tylko 75 fen.**

Krwawy Chrzest — to obraz ponury, bo gdzie spojrzysz, tam prawie same mogiły... z których przemawiają dzieje przebrzmiałych zapasów, pełne grozy i rozpaczy; krew serdeczna, szczerze polska, obficie przelana na polu sławy; — na każdej stronnicy przemawia do Ciebie, Czytelniku, to wszystko, co odznacza polską ziemię, polski lud kochany i polskiego ducha...

Tu syn chłopa i dziecię senatorskie walczą zarówno o to, co nam najdroższe, najświętsze — o wolność...

I tętni kałakoł pocztowy swym głosem dzikim, tętni coraz dalej a dalej, coraz ciszej i ciszej, niknie kibitka za kibitką w niezliczonym pochodzie — na Sybir...

Przy czytaniu zakręci się łza w oku a z piersi wyrwie się mimowoli jęk bólu, ażali umilknie zupełnie na ziemi naszej dzwon męczeństw narodowych...

3. ***Sąd Boży,*** powieść kryminalistyczna, tłomaczona z angielskiego.

sensacyjna, niezmiernie zajmująca, pełna powikłań różnorodnych — trzyma czytelnika na uwięzi od początku aż do końca.

150 stron (większego książkowego formatu) **tylko 50 fen.**

4. ***Pod Maską,*** romans miłosny, tłomaczony z angielskiego.

Zdrada i miłość, prawda i szalbierstwo walczą o lepsze, wreszcie prawda bierze górę, miłość zwycięża.

Książka większego formatu **120 stron** **tylko 50 fen.**

5. ***Zagadkowe drzwi,*** tłomaczone z angielskiego.

powieść kryminalistyczna, osnuta na prawdziwych, pełnych tajemniczej grozy zdarzeniach, pochłania uwagę czytelnika od początku do końca.

Pióro autora odznacza się niezmierną żywością i biegłością, co razem z poprzedniemi zaletami stanowi wielką wartość dziełka, pomimo której wyznaczyliśmy ***bajecznie nizką cenę,*** bo **tylko 50 fen.**

6. ***Antysemityzm,*** piękna powieść społeczna, poświęcona wielce ważnemu u nas zagadnieniu, jakie stanowi stosunek żydów do naszego narodu tak pod względem politycznym jak ekonomicznym.

Autor z niepospolitą bystrością dostrzegł przyczyny ogromnych klęsk i nieszczęść, jakie społeczeństwu polskiemu żydowszczyzna zadaje, a na tle prawdziwem rozsnuł nadzwyczajnie interesującą, z rzeczywistości zaczerpniętą opowieść. Chcąc służyć sprawie należytego poznania zgubnych dla nas pijawek palestyńskich i wyzwolenia społeczeństwa z pod wpływów żydowskich, rozsprzedajemy powieść tę piękną i dość obszerną ***po nader nizkiej cenie*** **tylko 50 fen.**

Kto powyższe 6 książek (9 tomów) od razu nabędzie, otrzyma takowe za niebywałą, nizką cenę, bo **za 3,00 mk.**

Już za 3,00 mk. więc można przyjść w posiadanie skromnej a doborowej biblioteczki domowej.

Przy zamówieniu tylko jednej powieści, należy się dołączyć jeszcze 10 fen. na porto; natomiast przy zamówieniu wszystkich 6 książek koszta portoryi ponosi wydawnictwo.

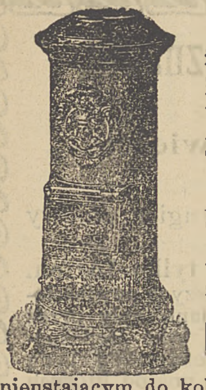
Pieniądze najlepiej przesłać przekazem pocztowym.

Wydawnictwo „Pracy“

(Księgarnia wysyłkowa)

w Poznaniu (Posen)

Rycerska 38.



Piece

iryjskie do każdego paliwa z ogniem nieustaj. bardzo praktyczne częściowo niklowane

No. 1	2	3	4	
ogrz. 50	75	100	125 kbm.	
M. 20	25	30	36	za szt.
No. 5	6	7	8	
ogrz. 150	200	300	400 kbm.	
M. 42	47	58	67	za szt.

włącznie 2 rur, 2 kolan i rozety niklowanej franko do każdej stacyi kolejowej.

Hansena

piece patentowane z ogniem nieustającym do koksu i antracytu poleca

T. Otmianowski,

Poznań — Bazar — Telefon 565.

Cenniki darmo i franko. 650

Nowość! Nowość! Nowość!

Piece do ogrzewania naftą niewydające zapachu.

Okropny zwrot stylistyczny w liście miłosnym.

...Nie uwierzysz, mój najdroższy Alfredzie, jak bardzo szczęśliwą się czułam, kiedy mi listonosz doręczył twój list... Całowałam go po tysiąc razy...

Zaproszenie do przedpłaty na

„Ziemianina."

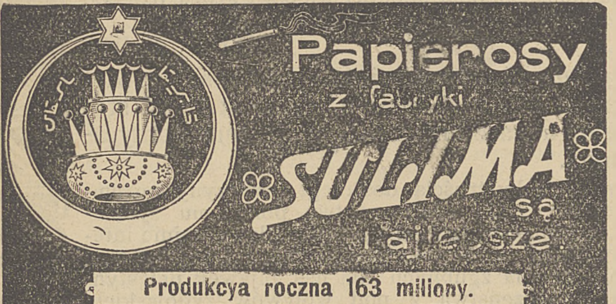
„Ziemianin" Tygodnik rolniczo-przemysłowy, organ Centralnego Towarzystwa Gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem, wychodzi co sobotę w Poznaniu, w formacie wielkiego 1—1½ arkusza, często z rycinami.

Przy **„Ziemianinie"** wychodzą trzy **bezpłatne** dodatki: 1) Rocznik Centr. Towarz. Gosp., zawierający **wszystkie** rozprawy i wykłady wygłoszone na Walnem Zebraniu. 2) **„Przegląd gorzelniczy"** pismo miesięczne. 3) **„Ogród jako źródło dochodu."**

„Ziemianin" kosztuje na pocztach w Niemczech 3 mk. Cena zniżona dla urzędników gospodarczych i niezamożnych gospodarzy wynosi kwartalnie **1 mk. 90 fen.,** półrocznie **3 mk. 80 fen.,** którą wprost do Redakcyi **w Poznaniu, Półwiejska ul. 5, I** przesyłać należy. Za zniżoną cenę nie można na poczcie zapisywać.

Redakcya „Ziemianina" w Poznaniu

Półwiejska ul. 5, I piętro.



Jedyna jeneralna agentura i główny skład

S. Żychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze.

Dom

mój, położony w **Żerkowie,** przy kościelnej ulicy, kwalifikujący się dla rzeźnika lub piekarza, do tego ogród, 5 morgów roli i 2 morgi łąki, mam zamiar zaraz sprzedać. Zgłoszenia przyjmuje

Kwapiszewski,

687 dzierżawca probostwa w Krotoszynie.



M. Dzień dobry sąsiedzie.
S. A, witam, witam.
M. Czy idziesz na przechadzkę co?
S. Nie! ale do **Białasa** przy Wrocławskiej ul. 2 kupić sobie zegarek.
M. To pójdziemy razem, bo ja sobie kupię okulary i kolczyki dla córki.
S. Mówią, że tylko od **Białasa** zegarki dobrze chodzą.
M. Cenniki illustrowane wysyła p. **Białas** na prowincyę darmo i franco.
S. To też podam adres do mego znajomego, może co sobie od **Białasa** każe przysłać. 675

MIKOŁAJCZAKA
instytut nauki tańca.
(Sala Sterna).

Kursa nowe rozpoczynam rokrocznie 1-go Października i Stycznia. Lekcye prywatne w każdym czasie. 619

Zgłoszenia przyjmuję w mieszkaniu **św. Wojciech nr. 3** II p.

Tanie książki!

Asem 40 f., Genowefa 40 f., Bolesław 50 f., Głos synogarlicy 1 m., Gawędziarz 50 f., Hirlanda 40 f., Historya o królewiczu 40 f., Historya o wiecznym żydzie 20 f., Jaskinia Beatusa 1 m., Koszyk kwiatów 50 f., Lampa czarodziejska 40 f., Listownik 50 f., Oracye 30 f., Przeraźliwe echo 60 f., Sąd ostateczny 40 f., Sybilla 40 f., Sowizdrzał 40 f., Śpiewnik polski 50 f., Toastnik 50 f. poleca 236

W. Fiałek w Chełmnie
(Culm W/Pr.)

Słabość męzką

skutki szczególn. tajnych grzechów młodości, oraz innych nadużyć, niszczących zdrowie, jak pewno i trwale usunąć, poucza jedynie w licznych wydaniach rozpowszechniona już książka illustrowana 187

Dr. Retau'a
Ochrona własna.

Cena wydania polskiego 1 markę.

Cena wydania niem. 3 mk. Tysiące znalazło w niej objaśnienie swych cierpień, a za użyciem kuracyi w książce tej zaleconej zupełną swą siłę męzką. Za nadesłaniem franko przez Magazyn wydawnictw R. F. Bierey w Lipsku (Verlags-Magazin Leipzig, Neumarkt 21.) W Poznaniu dostać można w księgarni **A. Spiro,** napr. poczty.

Pora jesienna.

Spółka Krawiecka

w Poznaniu, Stary Rynek Nr. 78,
w pałacu hr. Zamojskiego (Działyńskich)

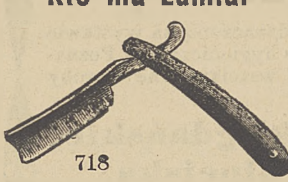
Największy i najtańszy
skład sukna
i gotowej garderoby męzkiej,
na porę jesienną i zimową
poleca w wielkim wyborze

materye

na ubrania, paletoty itd.
po niezwykle nizkich cenach.

Wielebnemu Duchowieństwu zwracamy uwagę na nasz krój **rewerend, płaszczy** itd., wykonanie dobre li tylko przez swoich najlepszych w cechu egzaminowanych krawców. 721

Kto ma zamiar



718

kupić rzeczywiście dobrą brzytwę, niech się zwróci z całym zaufaniem do niżej podpisanej firmy. **Brzytwa Nr. „2021 ⁵/₈"** szeroka, dobra, wyżłobiona, w etui, pod gwarancyą **1,50 M. Nr. 1023 ⁵/₈"** szeroka, szlifowana, w pięknem etui z guzikami metalowymi **2,20 Mk.** Wszystkie brzytwy kute z najlepszej stali angielskiej i zaraz gotowe do użytku. **Rzemienie do ostrzenia,** pojedyncze 1 mk., podwójne 1,50 m. **Masa do ostrzenia** do tego potrzebna za puszkę 40 fen. **Kubek do golenia** Britania 50 fen. **Pędzel do golenia** 50 fen. za sztukę.

Proszek mydlany aromatyczny za puszkę 25 fen. **Brzytwy zabezpieczające od zarżnięcia,** bardzo praktyczne, za sztukę 3,50 mk., Marka: Tryumf. **Aparat do golenia,** zabezpieczający od zarżnięcia, marka Humbold, za sztukę 3 m. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy. Każdy niech żąda naszego katalogu illustrowanego gratis i franko.

Hardt & Wundes, fabryka wyrobów stalowych, Solingen.

Fabryka papierosów rosyjskich
w Brodnicy (Strasburg W./Pr.)
pod firmą

„ORIANDA"

poleca znakomite papierosy z najwyborowszych rosyjskich tytuni. Na szczególniejsze wyróżnienie zasługują następujące gatunki:

Orianda	Prima
Warszawskie	Mickiewicz
Surprise	Baleton
Bezimienne	Fortuna
Sława	Kawalerskie itd. itd.

Wyroby moje odznaczają się nadzwyczaj łagodnym smakiem i wskutek tego cieszą się ogromną konsumcyą. Fabrykatów moich nabyć można w wszystkich składach cygar i papierosów. Panom kupcom pozwalam sobie zwrócić uwagę na moje wielkie zapasy tytuni rosyjskich, które zakupuję pod bardzo korzystnemi warunkami wprost u źródeł, jestem w możności po bardzo nizkich cenach oddać. Na życzenie służę osobną ofertą. 708

Stefan Stawiński, właściciel firmy **„Orianda."**

Niesłychane!

340 sztuk tylko za 3 marki 50 fen.

Piękny zegarek pozłacany z pięknym łańcuszkiem z trzyletnią gwarancyą, piękna skórz. portmonetka, eleg. pierścionek z imit. kamieniem, piękny scyzoryk, szpilka do krawaty z bryl. simil., garnitur guzików double do mankiet i koszul przepyszne lustro toaletowe kieszonk., przedmioty krotochwilne, piękna niklowa pisarka, 25 eleg. przedmiotów do korespondencyi, paryzka broszka dla dam, para butonów z bryl. simil., oraz 300 sztuk różnych drobiazgów w domu bardzo potrzebnych. Wszystko to z zegarkiem, który sam już wart jest te pieniądze, kosztuje razem tylko 3,50 przez zaliczkę pocztową z wiedeńskiej hurtownej filii 717

Alex. Jungerwirth, Kraków, Krakau Nr. R/10.

Za przedmioty niepodobające się, pieniądze z powrotem



Mapa W. Ks. Poznańskiego.

